

**REYMONT**  
**WŁADYSŁAW**  
**STANISŁAW**

CHŁOPI, CZĘŚĆ TRZECIA -  
WIOSNA

**Reymont Stanisław Władysław**  
**Chłopi, Część trzecia – Wiosna**

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=23549610](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23549610)*

*Chłopi, Część trzecia – Wiosna:*

**Аннотация**

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

# Содержание

I	4
II	34
III	70
IV	107
Конец ознакомительного фрагмента.	110

# Władysław Stanisław Reymont

## Chłopi, Część trzecia – Wiosna

### I

Czas był wiosenny o świtaniu.

Kwietniowy dzień dźwigał się leniwie z legowisk mroków i mgieł jako ten parob, któren legł spracowany, a nie wywczasowawszy się do cna zrywać się ano musi nade dniem, by wnetki imać się pługą i do orki się brać.

Poczynano dzień.

Ale cichość była jeszcze całkiem drętwa, tyle jeno, co rosy kapały rześiście z drzew pośpionych w macie nieprzejrzanym.

Niebo, kiej ta płachta modrawa przejęta wilgotnością i orosiła, przecierało się już ździebko nad ziemią czarną, głuchą i zgoła w mrokach zagubioną.

Mgły niby mleko wzburzone przy udoju zalewały łęgi i pola nizinne. Kokoty zaczęły pisać na wyprzódki gdziesik po wsiach jeszcze niewidnych.

Ostatnie gwiazdy gaśły kiej oczy śpiączką morzone.

Na wschodzie zaś, jako zarzewie roztlewające spod ostyglych popiołów, jęły się rozżarzać zorze czerwone.

Mgły się zakolebały z nagłą, wzdęły i ruchający ciężko, niby wody roztopów wiosennych, biły w czarne pola albo zasie, kieby

dymy kadzielne, wionęły sinym przedziwem ku niebu.

Dzień się już stawał i przepierał z blednącą nocą, która przywierała do ziem grubym, przemoczonym kożuchem.

Niebo się rozlewało z wolna światłościami, zniżając się coraz barzej nad światem, że już kajś niekaj wydzierają się na jaśnie czuby drzew, oprzędzone mgłami, a gdzie znów, na wyżach, jakieś pola szare, przesiąkłe rosą, wyleniają się z nocy; to stawy zamigotały pośleptymi lustrami albo strumienia kiej długachne, orosiałe przedze wlekły się wskroś mgieł rzednących i świtów.

Dzień się już czynił coraz większy, zorze rozsączały się w martwe siności, że na niebie poczynały gorzeć jakoby krwawe łuny pożarów jeszcze nie dojrzanych, i tak się galanto rozwidniało, iż ano bory wyrastały dokoła czarną obręczą, a wielka droga, obsiadła rzędami topoli pochylonych, utrudzonych jakoby w ciężkim chodzie pod wzgórze, dźwigała się coraz widniej na światłość, zaś wsie, potopione w mrokach przyziemnych, wyzierały gdzieniegdzie pod zorze, kieby te czarne kamienie spod wody spienionej, i poniektóre już drzewa co bliższe srebrzyły się całe w rosach i brzaskach.

Słońca jeszcze nie było, czuło się jeno, że leda pacierz wylupie się z tych zórz rozgorzałych i padnie na świat, któren dolegiwał ostatków, ozwierał ciężko mgławicami zasnute oczy, poruchiwał się ździebko, przecykał z wolna, ale jeszczech się lenił w słodkim, odpoczywającym dośpiku, bo cichość padła barzej w uszach dzwoniąca, jakoby ziemia dech przytaliła – jeno wiater, jako to dychanie dzieciątka, cichuśki powiał od lasów, aż

rosy potrząsły się z drzew.

Aż z tej omdlałej szarości świtów, z tych sennych jeszcze, omroczałych pól, jakoby w kościele rozmodlonym i oniemiałym, kiedy dobrodziej ma wznieść na Podniesienie Hostię Przenajświętszą – wystrzelił z nagła głos skowronkowy...

Wyrwał się gdziesik z roli, zatrzepotał skrzydłami i jął świergotać, jako ta z czystego srebra sygnaturka, jako ten wonny pęd wiośniany tlił się w bladym niebie, bił w górę, głośniał, iż w onej świętej cichości wschodów rozdzwaniał się na świat cały.

Wraz i drugie jęły się zrywać, skrzydełkami bić, w niebo się drzeć i śpiewać zawzięcie, a poranek głosić wszemu stworzeniu czującemu.

A po nich wnet i czajki zakwiliły jękliwie na moczarach.

Boćki też wzięły klekotać rozgłośnie gdziesik po wsiach, jeszcze nie rozpoznanych w szarościach.

Słońce zaś było już ino, ino...

Aż i ono pokazało się zza lasów dalekich, wychylało się z przepaści i kieby tę ogromną, złocistą i rozgorzałą ogniami patynę wynosiły Boże, niewidzialne ręce nad sennymi ziemcami i żegnając światłością świat, żywe i umarłe, rodzące się i struchlałe, rozpoczynało świętą ofiarę dnia, że wszystko jakby z nagła padło w proch przed majestatem i zamilkło przywierając oczy niegodne.

I oto dzień się stał, jako to nieobjęte morze weselnej światłości.

Mgły kiej wonne dymy z trybularzów biły z łąk ku

rozłożonemu niebu, a pactwo i stworzenie wszelkie uderzyło w wielki krzyk śpiewań, jakoby w ten pacierz serdecznych dziękczynień.

Słońce zaś urastało wciąż, wynosiło się nad bory czarne, nad wieś nieprzeliczone, coraz wyżej, i wielkie, gorejące, ciepłe kiej to święte oko miłosierdzia Pańskiego brało we władną i słodką moc panowanie nad światem.

W ten czas właśnie, na wzgórzu piaszczystym pod lasem, spod dworskich stogów łubinowych, stojących w podłe szerokiej i wyboistej drogi, pokazała się stara Agata, powinowata czy krewniaczka Kłębów.

Powracała ona z żebrów, na któren to chleb Jezusowy była poszła jeszcze w kopania, a teraz ci z nawrotem do Lipiec ciągnęła jako ci ptakowie, zawsze wracający o wiosnie do gniazd swoich.

Stare to było, schuchrane, słabe i ledwie dychające, iż się widziała jako ta wierzba przydrożna, pokrzywiona, spróchniała, co to się już ledwie tli i domiera w piachach; w łachmanach juści była, z kosturem dziadowskim w ręku, z tobołkami na plecach, obwieszona różańcami.

Wylazła spod brogów o samym wschodzie i śpiesznie drepcąc podnosiła do słońca twarz szarą i wyschłą jako te płone ugory zesłoroczne; jeno jej siwe, zaczerwienione oczy rozbłyskiwały radością.

Jakże!... po długiej i ciężkiej zimie do swojej wsi rodzonej wracała, to biegła aż truchcikiem, że ino torbeczki wyskakiwały

po bokach i dzwoniły różańce, ale iż ją spierało, a zadychliwość raz wraz chwyciła się bolących piersi, to musiała przystawać, wolnieć i już szła ciężko, z utrudzeniem, jeno tymi głodnymi oczyma latając po świecie i pośmiechując się do tych pól szarych, w zielonawe mgły przysłonionych, do wsi wynurzających się z wolna z mgielnych topieli, do tych nagich jeszcze drzew stróżujących nad drogami lebo samotne stojki odbywających po polach, do całego świata!

Słońce się już było podniosło na parę chłopów, że dojrzał choćby i najdalsze kraje pól; wszystko błyszczało różaną rosą, czarne role połyskiwały się w słońcu, wody grały po rowach, skowronkowe głosy dzwoniły w chłodnym powietrzu, gdzie zaś pod kamionkami tliły się ostatnie płaty śniegów, żółte bazie na poniektórych drzewach trzęsły się kieby te bursztynowe paciorki, w zaciszach zaś albo i pod nagrzanymi kałużami spośród rdzawych, zesłorocznych liści przedzierały się złotawe źdźbła traw młodych, gdzie znów patrzyły żółte oczy kaczeńców, wiaterek też wziął przygarniać leciuchno i roztrząsał wilgotne, rzeźwe zapachy pól, pławiących się leniwie w słońcu, a wszędy było tak wiośniano, rozległe, jasno, chociaż i jeszczech ździebko szarawo, i taką lubością tchnęło, że już się dusza Agaty wyrывała, by lecieć, jako ten ptak radością opity niesie się z krzykiem w cały świat.

– Jezus mój! Jezusiczku kochany! – pojękiwała ledwie przysiadując nieco i jakby zgarniając ten świat wszystek w roztrzęsione radością i wielce czujące serce.

Hej! zwiesna ci to szła przeciech nieobjętymi polami, skowronkowe pieśni głosiły ją światu i to słońce święte, i ten wiatr pieszczący, słodki a ciepły kiej matczyne całunki, i to przytajone jeszcze dychanie ziemic, tęsknie czekających na pługi i ziarno, i to wrzenie wesela unoszące się wszędy, i to powietrze ciepłe, orzeźwiające i jakoby nabrzmiące tym wszystkim, co wnetki się stanie zielenią, kwiatem i kłosem pełnym.

Hej! zwiesna ci to szła, jakoby ta jasna pani w słonecznym obleczeniu, z jutrzenkową i młodą gębusią, z warkoczami modrych wód, od słońca płynęła, nad ziemiami się niesła w one kwietniowe poranki, a z rozpostartych rąk świętych puszczała skowronki, by głosiły wesele, a za nią ciągnęły żurawiane klucze z klangorem radosnym, a sznury dzikich gęsi przepływały przez blade niebo, że boćki ważyły się nad łęgami, a jaskółki świegotały przy chatach i wszystek ród skrzydlaty nadciągał ze śpiewaniem, a kędy tknęła ziemię słoneczna szata, tam podnosiły się drżące trawy, nabrzmiwały lepkie pęki, chlustały zielone pędy i szeleściły listeczki nieśmiałe, i wstawało nowe, bujne, potężne życie, a zwiesna już szła całym światem, od wschodu do zachodu, jako ta wielmożna Boża wysłanniczka, łaski i miłosierdzie czyniąca...

Hej! zwiesna ci to ogarniała przyziemne, pokrzywione chaty, zaglądała pod strzechy miłosiernymi oczyma, budząc struchlałe, omroczone role serc człowiekowych, że dźwigały się z utrapień i ciemnic, poczynając wiarę na lepszą dolę, na obfitsze zbiory i

na tę wyteśknioną szczęśliwości godzinę...

Ziemia się rozdzwaniała życiem kieby ten dzwon umarły, gdy mu nowe serce uwieszą, serce ze słońca uczynione, że bije górnice, dzwoni, huczy radośnie, budzi struchlałe i śpiewa takie rzeczy i sprawy, takie cuda i moce, aże serca biją do wtóru weselnego, aże same łzy leją się z oczu, aże dusza człowiekowa zmartwychwstaje w nieśmiertelnych mocach i klęczący ze szczęścia ogarnia sobą oną ziemię, ów świat cały, każdą grudkę napęczniałą, każde drzewo, każdego kamień i chmurę każdą, wszystko ano, co uwidzi i co poczuje...

Tak ci to i czuła Agata kuszykając z wolna i żrąc spragnionymi oczyma tę ziemię kochaną, tę ziemię świętą, że szła jak pijana.

Aż dopiero gdy sygnaturka zaświegotała na lipieckim kościele kieby ten ptaszek zwołujący na modlitwę, ocknęła stara z nagłą padając na kolana.

...iżesz swoją świętą przyczyną sprawił, jakom powróciła...

...iżesz, Panie, pokazał miłosierdzie nad sierotą...

Mogła to mówić! kieby łzy jako ten deszcz rześisty zalały jej serce i spływały po wynędzniałej twarzy, że jeno mamrotała cosik, a tak się trzęsła w sobie, że ani weź naleźć różańca, ni tych słów pacierza, które się rozsuły po duszy palącą rosą, to porwała się z mocą i poszła, pilnie patrząc po polach i powiadając w głos jakie słowo modlitwy, przypomniane z nagłą...

Że zaś dzień był już duży i mgły całkiem spadły, Lipce jawiły się przed nią jakby na dłoni, leżały nieco w dole nad ogromnym

stawem, modrzącym się kiej lustro spod białawej a leciuchnej przysłony, obsiadły wodę kręgiem niskich, szerokich chałup, co jak kumy w sobie wielce podufałe, przysiadły w sadach jeszcze nagich, dymy kajś niekaj rwały się nad strzechami, gdzie zaś szyby przebłyskiwały w słońcu albo bielily wskroś czarniawych sadów świeżo pobielone ściany.

Każdą chałupę mogła już dojrzeć z osobna. Młyn ano, którego bełkotliwy turkot dochodził coraz żywiej, stał na kraju wsi przy drodze, którą szła, a naprzeciw prawie, na drugim końcu kościoł wznosił wysokie, białe mury wśród drzew olbrzymich i grał oknami i złotym krzyżem na bani, a w podle niego czerwienily się dachówki plebanii. Wokół zaś, jak jeno dojrzeć, stały sinym wiankiem lasy i rozlewały się pola nieprzejrane, leżały wsie dalekie, wsie kieby te szare liszki przywarte do ziemi, a w sady pochowane; drogi kręto powyciągane, kamionki, rzędy drzew przechylonych, piaszczyste wydmy, z rzadka porośłe jałowcami, i wąska przedza rzeczki, ciekącej połyskliwie i wlewającej się do stawu, między chałupami.

Bliżej zaś, dokoła wsi, wielgachnym kręgiem leżały lipeckie ziemie, pokrajane w pasy, kieby te postawy zgrzebnego płótna, rozciągnięte pod wzgórze i poćwiartowane na działki. Pola wiły się i wydłużały przy polach, porozdzielane krętymi miedzami, na których gęsto rozrastały się grusze rozłożyste, górzyły się kamionki cierniem obrosłe, w złotawym świetle ostro wyrzynały się szare i utyłane kiej ścierki ugory; to płachty zielonawe ozimin, to zeszłoroczne kartofliska czerniały abo i już latosie

podorówki, miejscami zaś po dołkach siwiały wody i wleky się kiej to szkliwo roztopione; za młynem rozlewały się łąki rudawe, po których brodziły bociany raz wraz poklekujące, i kapuśniska tak jeszcze pod wodą, że jeno grzbiety zagonów przemiękłych łyśniły się kiej piskorze, czajki białobrzusne kołowały nad nimi, a po rozstajach stróżowały święte drzewa krzyżowe i jensze wyobrażenia Pańskie, zaś nad tym całym światem, zakłęśłym ździebko w miejscu, kędy wieś przywarła, wisiało rozgorzałe, złotawe słońce, pobrmiewały skowronkowe śpiewania, rozlegały się niekiedy od obór tęskliwe ryki bydła, to gęsi g dziesik pokrzykiwały gęgliwie i leciały rozgłośne wołania ludzkie, a wraz i wiater tchnął lubym, ciepłym powiewem zgarniając wszystkie te głosy, że ziemia stawała niekiedy w takiej cichości a zadumaniu, jakoby w tej świętej chwili rodów i poczynań.

Jeno na polach mało gdzie dojrzał robotę, tyle tylko, co zaraz pod wsią gmerało się kilka kobiet rozrzucających nawóz, że ostry, przenikliwie w nozdrzach wiercący zapach płynął smugą całą.

– Zaspały próżniaki czy co, dzień taki wybrany, a na rolę mało kto ciągnie... ziemia aż się prosi pługa! – mruzczała zgorszona.

I aby być bliżej jeszcze zagonów, zlazła z drogi na ścieżkę ciągnącą się za rowem, gdzie już czerwone rzęsy stokrotek otwierały się do słońca i gęściej zieleniła się trawa.

Juści, że tak pusto było na polach, aż dziw brał! Przecie dobrze baczyła, jako po inne lata w tę porę to jeno się

czerwienioło po zagonach od kiecek i aż się trzęsło od przyśpiewek i wrzasków dzieuszych; rozumiała też, jako przy takiej pogodzie najwyższy już czas do wywożenia gnojów, do podorówek, do siewów, a dzisiaj co? Jeden jedyny chłop, którego dojrzała gdziesik w pośrodku pól, siał cosik, szedł pochylony i zawracał, rozrzucający w półkole jakieś ziarno.

– Musi być, że groch sieje, kiej tak wcześniej... Dominikowej chłopaki, widzi mi się, bo akuratnie tam ich pola wypadają... A niech wama darzy i plonuje Bóg miłosierny, gospodarze kochane! – szeptała serdecznie.

Ścieżka była ciężka, nierówna, zawalona świeżymi kretowiskami, kamieniem, a miejscami błotna, ale nie zwracała na to uwagi wpatrując się z lubością i rozczuleniem w każdego zagon, w każde półko z osobna.

– Księżę żyto, bujne, sielnie się ruszyło!... Prawda, kiej wędrowałam we świat, orał pod nie rolę parobek, a dobrodziej siedzieli se gdzieś tutaj, baczę dobrze...

I znowu kuszykała wzdychając ciężko i łzawo wlokąc oczyma.

– Cie, Płoszkowe żyto... musi być późne albo i wymiękło ździebko.

Nachyliła się z trudem, dotykając drżącymi, starymi palcami wilgotnych ździebeł i głaszcząc je z miłością, jakoby te włosy dziecińskie.

– Borynowa pszenica, sielny kawał! Juści!... bo to nie gospodarz pierwszy na Lipce?... ale cosik przyżółta, musiało ją

przemrozić czy co... ciężką zimą tu przeszła... – medytowała spostrzegając po przyplaszczonych zagonach i wbitych w ziemię, obwalanych mułem źdźbłach ozimin ślady wielkich śniegów i wód roztopowych.

– Wycierpieli się ludziska niemało, nabiedowali! – westchnęła przysłaniając oczy dłonią, bo naprzeciw od wsi szły jakieś chłopaki.

– Juścić, co Michał organistów z którymś organiściakiem. Po wielkanocnym spisie do Woli idą, kiej z tylachnymi koszykami... Juści, że nie kto drugi.

Pochwaliła Boga, gdy nadeszli, rada wielce zagadać z nimi coś niecoś, ale chłopcy odburknęli pozdrowienie i przeszli prędko, rozgadani ze sobą.

– Dyć od tylich skrzatów baczę ich, a nie poznali mnie! – Markotność ją przejęła. – Cie! a skąd by i taką dziadówkę pamiętały! Ale Michał wyrósł galanto, pewnikiem już dobrodziejowi przygrywa na organach...

Rozmyślała wpatrując się znowu w drogę, że to wyszedł ze wsi Żyd jakiś pchając przed sobą sporego cielaka.

– A od kogo to kupione? – zagadnęła.

– Od Kłębowej! – odparł mocując się z biało-czerwonym ciotkiem, któren się opierał, zawracał i pobekiwał żałośnie.

– To ani chybi po granuli... juści... pognąła się była jeszcze przed żniwami... a może i po siwej... Sielny ciołek...

Obejrzała się za nim z gospodarską lubością, ale już ich nie było na drodze: ciołek wyrwał się z rąk, skoczył na pole i

podniósłszy ogon rwał ku wsi na przelaj, a Żyd z rozwianym chałatem zabiegał mu drogę.

– W ogon go pocałuj, a poproś pięknie, to ci wróci... – szepnęła z kumentnością przyglądając się gonitwie.

– A i na Kłębowych morgach ni żywej duszy! – zauważyła przy tym, ale nie było już czasu na pomyślunki: wieś była już tak blisko, że poczuła zapach dymów i dojrzała po sadach wietrzące się pierzyny, to jeno ogarniała oczyma wieś całą i najgłębsza, wdzięczna radość zatrzęsła jej sercem, że to Jezus pozwolił dożyć tej zwiesny i powraca ją oto do swoich, powraca do rodzonych.

A przeciech mogła zamrzeć zimą między obcymi, chorzała bowiem ciężko, ale Jezus ją powrócił...

Dyć tym ano żywiła duszę przez długą zimę, tym się jeno krzepiła w każdej godzinie i tym się broniła od mrozów, nędzy i śmierci...

Przysiadła pod krzakami, aby się ździebko przygarnąć, nim wejdzie między chałupy, ale miała to siły, kiej ją tak rozebrała radość, że każda kosteczka trzęsła się z osobna i serce tłukło się boleśnie niby ten ptak duszony?

– Są jeszcze dobre i miłosierne ludzie, są... – szeptała opatrując troskliwie torbecki. Jakże, uciulała sobie tyła, że musi starczyć na pochówek.

Przeciech od dawnych już lat o tym jeno deliberowała i w to całą duszę kładła, że skoro śmierci porę Pan Jezus spuści, aby się to mogło stać we wsi swojej, w chałupie, na łóżku zasłanym

pierzynami, pod rzędem obrazów, tak jako umierały gospodynie wszystkie. Całe życie zbierała na chwilę ona świętą i ostatnią.

Miała ci już u Kłębów na górze skrzynię, a w niej pierzynę sporą, poduszki i prześcieradła, i wysypki nowe, a wszystko czyste, nie używane zgoła, by nie marać, zawsze mieć gotowe, no i że nie było gdzie rozłożyć tej pościeli. Miała to kiej swoją izbę albo i łóżko? Kątem zawždy, na barłogu jakim, to w obórcie, jak się zdarzyło i kaj ludzie dobre pozwolili przytulić głowę. Nie cisnęła się ta ona nigdy naprzód, między możne i władne, nie wyrzekała na dołę, bo wiedząca była dobrze, że wszystko urządzenie na świecie z woli Bożej pochodzi, a nie zmienić go człowiekowi grzesznemu.

To se jeno tajnie, po cichuśku, przepraszając Boga za pychę, o tym jedynie marzyła, by mieć gospodarski pochówek – o to jeno prosiła lękliwie...

Nie dziwota więc, że skoro się teraz przywlekła do wsi ostatkami sił, czując, że już ten czas ostatni przychodzi na nią, to wzięła sobie przypominać, czy aby czego nie przepomniała.

Ale nie, wszystko miała potrzebne – gromnicę niesła z sobą, co ją ano wyprosiła stróżując jakiegoś umarlaka, i buteleczkę z wodą święconą miała, i nowe kropidło kupiła, i obrazik poświęcany Częstochowskiej, jaki musi mieć w ręku w skonania godzinie, i te kilkadziesiąt złotych na pochówek... a może i starczy na mszę świętą przy trumnie, ze światłem i pokropieniem choćby w kruchcie! Juści, że i myśleć nie śmiała, by ją ksiądz eksportował na cmentarz.

Gdzieby zaś to mogło być!... Nie każdy gospodarz dostępuje takiego honoru i szczęścia, a przy tym i wszystkich pieniędzy na to jedno by nie starczyło!

Westchnęła żałośnie podnosząc się na nogi.

Dziwnie jednak zasłabła, kłuło ją w piersiach, kaszel męczył, że ledwie się mogła ruchać, odpoczywając co chwila.

– Żeby choć do sianokosów dociągnąć albo i do żniw pierwszych – marzyła, słodko przywierając oczyma do chałup coraz bliższych.

– A potem już się położę i zamrę ci, Jezu kochany, zamrę... – jakby się tłumaczyła lękliwie z tych grzesznych nadziei.

Ale wraz spadła na nią troska: kto to ją przyjmie do chałupy na ten czas skonania?

– Poszukam se dobrych i czujących ludzi, a może i jaki grosz przyobiecam, to się łącniej zgodzą... Juści! komu ta niewola kłopotać się cudzymi, a chałupę sobie mierzić.

Aby się to mogło stać u Kłębów, krewniaków, nawet pomyśleć nie śmiała.

– Tylachna dzieci, w chałupie ciasno, a to i drób teraz się lęgnie i trza mu miejsca, i niehonor byłby dla takich gospodarzy, by pod ich dachem krewniackie dziadówki pomierały...

Rozmyślała bez żalu wchodząc na drogę biegnącą po grobli wyniesionej nieco, by chronić staw od wylewów na niskie łąki a kapuśniska.

Młyn stał pobok grobli, jeno tak nisko, że omączone dachy wystawały nieco nad drogą, trzął się cały i z głuchym łoskotem

pracował.

A z lewa staw świecił się ano, słońce wlekło się złotymi włosami po cichej, rozmodrzonej od nieba wodzie, na brzegach, obrosłych przychyłonymi olchami, trzepały się z krzykiem gęsi, na drogach zaś, jeszcze nieco błotnych, dzieci przeganiały stadami pokrzykując z uciechy.

Lipce ano siedziały z obu stron stawu jak przódzi, jak zawdy chyba od początku świata, całe w sadach rozrosłych a w opłotkach.

Agata wlekła się z trudem, chyżo jeno biegając oczyma, a wszystko widząc. W młynarzowym domu, co stał odsunięty od drogi, a podobien się zdał choćby i do dwora jakiego, przez wywarte okna powiewały białe firanki, a sama młynarzowa siedziała przed progiem w pośrodku piskliwego stada gęsiąt żółciuchnych kiej z wosku, które przygarniała.

Pochwaliła stara Boga i przeszła cicho, rada, że jej nie poczuły psy, wylegające się pod ścianami.

Przesła most, pod którym woda z hukiem przewalała się na młyńskie koła; drogi stąd rozchodziły się kiej ręce ogarniające cały staw.

Kolebała się w sobie przez chwilę, ale chęć obejrzenia wszystkiego przemogła i wzięła się na lewo, dłuższą nieco drogą.

Kuźnia, stojąca pierwsza zaraz z brzegu, była zamknięta i głucha; jakiś przodek od wozu i nieco zardzewiałych pługów leżało pod ścianami okopconymi, ale kowala ani widu, jeno kowalowa, rozdzana do koszuli, kopała grządki w sadzie wzdłuż

drogi.

Przystawała teraz przed każdą chałupą wspierając się o niskie, kamienne płoty i przeglądając ciekawie obejścia, opłotki, wywarte sienie i okna. Psy ujadły na nią niekiedy, ale obwąchawszy i jakby snadź poznając swojaczkę, wracały legać na przyzby w słońce.

A ona ci teraz szła wolniuśko, krok za krokiem, ledwie dychając z utrudzenia, a barzej i z uciechy serdecznej.

Sunęła się tak cichuśko jako ten wiaterek, który raz po raz powiewał po stawie i gmerał w rudych baziach olch, a szara była i niewidna kiej te płoty albo ta ziemia, miejscami już przesychnąca, albo zaś kieby ten chudy cień, od drzew nagich padający na ziemię, że jakby jej nikto i nie spostrzegał.

A radowała się całym sercem, że wszystko tak znajduje, jako i była zostawiła jesienią.

Śniadania musieli warzyć, bo kurzyło się z kominów, a gdzieś tam z wywartych okien buchały zapachy gotowanych ziemniaków.

Choć to i dzieci krzykały tu i owdzie albo i gęsi stróżujące przy gęsiętach podnosiły często strwożone gęgoty, a dziwnie cicho i pusto było we wsi.

Słońce się już ano podniosło na pół drogi do południa i siało kieby tym szczerym złotem, i jęło się przeglądać w stawie, a nikto się jeszcze nie kwapił w pole, żaden wóz nie turkotał z opłotków ni poskrzypowały pługi, ciągnięte na rolę.

– Na jarmarek musiały pojechać albo co? – myślała, baczniej

się jeszcze rozglądając po chałupach.

Wójtowe stodoły żółciły się nowym drzewem spośród sadów bezlistnych, a Gulbasowa chałupa, obok stojąca, miała oberwane poszycie, że łąty dachu widać było kiej te żebra nagie.

– Wiatry zerwały, ale wałkoniowi nie chciało się naprawić! – mruzczała.

W podłe zaś Pryczki siedziały w starej pokrzywionej chałupinie, z powybijanych szyb wyzierały słomiane wiechcie.

A oto i sołtysowa chałupa, szczytem do drogi, na starą modę. Za nim też Płoszków dom, na dwie strony zamieszkania.

Potem Balcerków posiedzenie: poznałyby nie wiem gdzie, bo dom był znaczny, że to dzieuchy popstrzyły wapnem szare ściany i pofarbowały ramy okien na niebiesko.

A tam znów, w szerokim, starym sadzie rozsiadły się Boryny, pierwsze gospodarze i bogacze lipeckie. Słońce jeno grało w czystych szybach; ściany jaśniały jakby z nowa pobielone; obejście było obszerne, budynki w rząd stawiane, a proste i tak galante, że niejeden i chałupy takiej nie miał, płoty całe i wszystko w takim porządku, kieby u jakiego Olendra na koloniach a lepiej nie było.

A dalej dom Gołębiów.

I inszych, które wszystkie jako ten pacierz na pamięć wiedziały. Ale wszędy jednako było cicho i pusto, jeno w sadach czerwieniły się pościele wietrzone i różny przyodziewek, a jeno gdzieniegdzie uwijały się porozdziewane do koszul kobiety przy kopaniu grządek.

W zacisznych miejscach sadów kapuściane wysadki już puszczały zielone warkocze z ognistych łbów, to zaś pod ścianami one lilije wyrastały z szarej ziemi bladymi kłami, rozsady wschodziły pod przykrywą tarniowych gałązek, drzewa stały w nabrzmiątych, lepkich pąkach, a wszędzie pod płotami burzyły się pokrzywy i chwasty różne, i krze agrestowe obwiane były jasną, młodziuchną zielenią.

A choć to i najprawdziwsza zwiesna siała się prosto z nieba i tętniąca była w każdej grudce ziemi napęczniałej, a tak jakoś smutnie się widziało w Lipcach, cicho i dziwnie pusto.

– A chłopca to ni na lekarstwo nigdzie. Nic, jeno na sądy poszły albo na zebranie je zwołały.

Tłumaczyła tak sobie wchodząc do kościoła otwartego na rozcież.

Po mszy już było, dobrodziej spowiadał w konfesjonale, kilkanaścioro ludzi z dalszych wsi siedziało w ławkach w cichości a skupieniu, że jeno chwilami ciężkie wzdychy rwały się na kościół albo to jakie słowo pacierza głośniejsze.

Od lampki płonącej, uwieszanej na sznurze przed wielkim ołtarzem, wlekły się pasma dymów niebieskawych ku wysokim oknom, przez które padało słońce; za szybami ćwierkały wróble fruując niekiedy pod nawami ze żdźbłami w dziobach, a czasem jaskółki wpadały ze świegotem przez wielkie drzwi, pokołowały błędząco w cichościach i chłodach murów i uciekały chyżo na świat jasny.

Zmówiła jeno krótki pacierz, tak już było jej pilno do

Kłębów, ale przed kościołem zaraz spotkała się oko w oko z Jagustynką.

– Jagata! – krzyknęła tamta z wydziwem niemałym.

– Dyć żywię jeszcze, gospodyni! żywię! – Chciała ją w rękę pocałować.

– A powiedali, żeście już nogi wyciągnęli gdzieś w ciepłych krajach... Ale wama ten letki chleb Jezusowy na zdrowie nie poszedł, bo coś mi na księżą oborę patrzycie... – mówiła, szydliwie ją rozglądając.

– Wasza prawda, gospodyni... a tom ledwie już dowlekła kosteczki... dojdę se już pomaluśku a wrychle, dojdę...

– Do Kłębów śpieszycie?

– A gdzie bym to szła? Krewniaki przeciech...

– Radzi was przyjmą, torbeczki dygujecie niezgorsze, a jakiś grosz też być musi w supełkach, to juści, że chętnie przypuszczą waju do krewniactwa.

– Zdrowi bych są? nie wiecie? – markotne jej były te przekpinki.

– Zdrowi... jeno Tomek, że słabował ździebko, to się teraz lekuje w kreminalu.

– Kłab! Tomasz! Nie powiedajcie, bo mnie nie do śmiechu!

– Rzekłam, a dołożę, że nie sam siedzi, a z dobrą kompanią, bo z całą wsią... I morgi nie pomogą, kiej sąd przyskrzybnie drzwiami a okratuje.

– Jezus Maria, Józefie święty! – jęknęła, jako słup stając w zdumieniu.

– Bieściez rychlej do Tomkowej, to się tam napasiecie nowinkami barzej drujkami niżli miód. Hi, hi! świętują se chłopcy aż miło! – zaśmiała się urągliwie, a złe jej oczy strzeliły nienawiścią.

Agata powlekła się ogłuszona nie mogąc jeszcze uwierzyć w słyszane, spotkała kilka znajomych kobiet, które ją przywitały dobrym słowem zagadując o tym i owym, ale jakby nie słyszała pogwary, rozdygotana w sobie strachem coraz zjadliwszym, że już z umysłu przywalniała, bych jeno opóźnić sprawdzenie tych nowin piekących. Długo siedziała pod sztachetami plebanii, bezmyślnie patrząc na księży dom. Na ganku stał bociek na jednej nodze i jakby naglądał psów, baraszkujących po żółtych uliczkach ogrodu, a Jambroży z dziewczką okładali nową darnią boki klombu, któren się już rudział kieby szczotką żelazną tymi młodymi chlustami kwiatów przeróżnych.

Dopiero wzmógłszy się na siłach chyłkiem ruszyła w opłotki Kłębowego domu, stojącego tuż w rząd z plebanią.

Z dygotem juści szła czepiając się płotów i latając przetrwożonymi oczyma po sadzie i chałupie, siedzącej w głębi, ale jeno krowy pod oknami chlipały głośno z cebratek, sień wywarta była na przestrzał, że dojrzała maciore z prosiętami wylegujące się w błocie podwórza i kury pilnie grzebiące w gnoju.

Podjąwszy próżną już cebratkę, bo śmieiej było jej z czymścić w garści wejść, wsunęła się do wielkiej mrocznej izby.

– Niech będzie pochwalony! – ledwie wykrztusiła.

– A na wieki! Kto tam? – zwał się po chwili zajękliwy głos z komory.

– Dyć to ja, Agata! – Jezus, jak ją spierało pod piersiami!

– Agata! Widzieliście no, moi ludzie! Agata! – gadała prędko Kłębowa ukazując się na progu z pełną zapaską piszczących gąsiąt, stare zaś z sykiem i gęgotem dyrdały za nią. – No, to chwala Bogu! A powiadali ludzie, jakoście jeszcze na Gody pomarli, nie wiada było ino kaj, że nawet mój zbierał się do kancelarii na przewiady. Siadajcież... strudzeni pewnikiem jesteście. Gęsi się ano lęgną...

– Pięknie się wywiedły, kiej ich aż tyła!

– A będzie kopa bez mała, przez pięciu. Chodźcie przed dom, bo trza ich podkarmić i przypilnować, aby stare nie stratowały.

Wybrała je starannie z zapaski na ziemię, iż zaroily się kiej te żółciuchne pępuszki, a stare jęły radośnie gęgotać a wodzić nad nimi dzióbami.

Kłębowa wyniesła na deseczce posiekanego jajka wraz z pokrzywami i kaszą i przykucnęła przy nich pilnie bacząc, bo stare kuły w drobiazg, tratowały i kradły jedzenie, jak ino mogły, rejwach czyniąc krzykliwe.

– Siodłate wszystkie będą – zauważyła siadając na przyzbie.

– Juści, a z wielkiego gatunku. Organiścina odmieniła mi jaja, że trzy swoje dawałam za jedno... Dobrze, iżście już ściągnęły do chałupy... roboty tyła, że nie wiada, gdzie przódzi pazury zacześcić.

– Zaraz się wezmę do roboty, zaraz... jeno mocy nieco

nabierę... chorzałam i całkiem się wyzbyłam z sił... ale niechaj ino wydecham... to zaraz...

I chciała się podnieść, chciała iść... by się wziąć za robotę jaką, ale chudzina jeno się potoczyła na ścianę i z jękiem padła.

– Do cna, widzę, zwątleliście, nie do roboty już wama, nie!  
– rzekła ciszej rozpatrując jej twarz siną, obrzękłą i dziwnie pokurczoną postać.

Zakłopotąła się tym oglądem i strapiła, że nie tylko wyreki mieć z niej nie będzie, ale gotów się jeszcze kłopot nawiązać.

Snadź przeczuła to Agata, bo się lękliwie, przepraszająco ozwała:

– Nie bójcie się, nie będę waju zawałała miejsca ni cisnęła się do miski, nie, wydechne se ino i pójdę... chciałam jeno obaczyć wszystkich... popytać... ale se pójdę... – Łzy cisnęły się do oczu.

– Nie wyganiem was przeciech, siedźcie, a wola wasza będzie iść, to se pójdziecie...

– A kaj to chłopaki? pewnikiem w polu z Tomkiem? – zapytała wreszcie.

– To nic nie wiecie? A dyć wszystkie w kreminalu!

Agata jeno ręce spleła w niemym krzyku boleści.

– Powiedziała mi już to słowo Jagustynka, jeno uwierzyć nie mogłam.

– Najczystszą prawdę wam rzekła, tak ci jest, tak!

Wyprostowała się na te wspominki, a po wynędzniałej twarzy posypały się ciężkie łzy.

Agata patrzyła w nią jak w obraz, nie śmiejąc już dopytywać.

– Mój Jezu! Sąd ci tu był we wsi ostateczny, kiej ano wzięli wszystkich i do miasta powiedli, ostatnia godzina, powiadam wam, że dziw, jako żywię jeszcze i ten dzień jasny oglądam! A to już jutro będzie całe trzy tygodnie, a mnie się widzi, jakby to wczoraj się stało. Ostał jeno w chałupie Maciek, wiecie, i dzieuszyska, które teraz gnój powieźły w pole, i ja sierota nieszczęsna!

– A poszły! ścierwy... to własne dzieci tratują jako te świnie!  
– krzyknęła naraz na gęsi: – Pilusie, pilu, pilu, pilu!

Nawoływała gąsięta, bo całym stadem, z matkami na czele, ruszyły w opłotki.

– Niech się zabawią, gap nikaj nie widać, przypilnuję bacznie.  
– Ruchać się nie możecie, a gdzie wam za gąsiętami biegać!...  
– Już me ździebko chorość odeszła, skorom jeno w te progi stąpiła.

– To pilnujcie... narządźę wama co jeść... a może mleka uwarzyć?

– Bóg wam zapłać, gospodyni, ale sobota to ci wielkopostna, to z mlekiem jeść mi się nie godzi... wrzątku dajcie jaki garnuszek, chleb mam, to se wdrobię i pojem galanto.

Jakoż Kłębowa wnet jej przyniesła osolonego wrzątku na miseczce, w któren stara wdrobiła chleb i pojadała z wolna dmuchając w łyżkę, a Kłębowa zaś przysiadła w progu i oganiając oczyma gąsięta, skubiące pod płotami, znowu powiedała:

– O las poszło. Dziedzic sprzedał go kryjomo przed Lipcami Żydom. Jeli go wnet rąbać! Krzywda była taka i sprawiedliwości

znikąd, to i co miały począć? do kogo iść ze skargą? A do tego zawział się na cały naród, że ni jednego komornika ze wsi do roboty nie zawołał. Zmówili się też i całą wsią poszli swojego bronić, ile ino narodu było. Powiedali, że wszystkich karać nie pokarzą, jeśliby na to przyszło, ale nikt o tym nie pomyślał, bo jakże? za co to mieli karać? przeciech o swoje jeno zabiegali. Poszli do poręby, pobili rębaczów, że po dobrej woli nie ustąpili, pobili dworskich i wszystkich ano z boru wygnali... Na swoim postawili, a po sprawiedliwości, bo póki z lasu nie wydzielą, co jest czyje, ruchać go nikt prawa nie ma. Ale się dużo przy tym pomarnowało naszych, starego Borynę przywieźli z rozłupaną głową: borowy ci go tak uszlachtował, a tego ci znowuj Antek Boryniak zakatrupił za ojca.

– Jezus! zakatrupił, na śmierć?!

– Na śmierć, a stary do dzisiaj ano choruje i bez rozumu zgoła leży, juści, on najbardziej ucierpiał, ale i drugie też niemało: Szymek Dominikowej miał przetrącony kulas, Mateusz Gołąb był tak pobity, że go aż przywieźć musieli, Płoszce Stachowi rozwalili łeb, a drugim dostało się też dosyć, że i nie spamiętać, co i komu! Nikto się tym zbytnio nie frasował ni narzekał, bo swoje dokazali, wrócili też bujno, ze śpiewami kiej po tej wojnie wygranej, całą noc w karczmie z uciechy pili, a barzej pobitym gorzałkę do chałup nieśli.

A na trzeci dzień jakoś, w niedzielę, śnieg padał mokry i zrobiła się taka plucha od samego rana, iż trudno było nosa wyścibić na dwór. Zbieraliśmy się właśnie do kościoła iść, kiedy

Gulbasowe chłopaki poczęły na wsi krzyczyć: „Strażniki jadą!”

Jakoż może w pacierz przyjechało ich ze trzydziestu, a z nimi urzędniki i cały sąd, rozłożyli się na plebanii. No, że już i nie wypowiem, co się działo, kiej zaczęły sądzić, wypytywać, zapisywać, a naród po kolei brać pod Stróżę... Nikto się nie opierał, każdy pewny był swojego, a wszystkie kiej na spowiedzi przyświarczały i prawdę szczerą mówili. Dopiero pod wieczór skończyli i chcieli zrazu całą wieś wraz ze wszystkimi kobietami brać, ale podniósł się taki krzyk a ten płacz dzieciński, że chłopcy już się za kołami oglądali... Dobrodziej musiał cosik przełożyć starszym, że nas poniechali, nawet Kozłowej, silnie wygrażającej wszystkim, nie wzięli, chłopów jeno samych zabrali do kreminau, Antka zaś Borynowcgo w postronki przykazali wiązać!

– Jezus! w postronki przykazali wiązać!

– I związali, ale porwał ci je kiej te nicie nadgniłe, aż się przelekły wszystkie, bo wydał się, jakby mu dur do łba przystąpił albo i zły opętał, a on stanął przed nimi, a w oczy im rzekł:

– Skujcie mię mocno w kajdany i pilnujta, bo wszystkich zakatrupię i sobie co złego zrobię...

Tak się ano zapamiętał, że mu ojca zabili, sam ano ręce podał w żelaza, sam nogi nastawił i tak go powieźli...

– Jezu mój miłościwy! Maryja! – jęczała Agata.

– Widzę zawdy i do samej śmierci nie zabaczę, jak ich brali...

– Wzieni mojego z chłopakami... wzieni Płoszków...

– Wzieni Pryczków...

- Wzieni Gołębiów...
- Wzieni Wachników...
- Wzieni Balcerków...
- Wzieni Sochów...

– ...a tyła jeszcze drugich wzieni, że więcej niżli pięćdziesiąt chłopów popędzili do kreminału...

Że i rozum ludzki nie poradzi wypowiedzieć, co się tutaj działo... jakie płacze się krwawiły, tych wrzasków lamentliwych... ni tych przekleństw strasznych.

A tu zwiesna nadeszła, śniegi rychło spłynęły, role podeschły, ziemia aż się prosi o obróbkę, czas na orki, czas na siewy, czas na wszystkie roboty, a robić nie ma kto!

Wójt jeno ostał, kowal i tych kilku staruchów ledwie się ruchających, a z parobków jeden ino głupawy, Jasiek Przewrotny!

A tu i czas przychodzi rodów, że już poniektóre zległy, krowy się też ciela, łągi wszędzie, o chłopach też trza myśleć i podwozić im to pożywienie, to grosz jaki albo i tę czystą koszulę, a roboty innej tyła, że już i nie wiada, za co się przódzi brać, samym przeciech nie uradzi, a najemnika dostać nie można po drugich wsiach, boć kuźden sobie przódzi obrobić musi...

– Nie puszczą ich to rychło?

– Bóg ta wie kiedy! Jeździł do urzędu ksiądz, jeździł i wójt i powiedają, że kiej śledztwa skończą, to ich popuszczają, że to sądy mają być później, ale już trzy niedziele przeszło, a jeszcze ni jeden nie wrócił. Rocho też we czwartek pojechał dowiadywać

się.

– Boryna żywie to jeszcze?

– Żywie, jeno ledwie dycha i do rozumu nie przychodzi, jako ten klocek leży... Zwoziła Hanka dochtorów, to znających się, nic nie pomaga...

– Juści, pomogą tam dochtory, gdzie chto na śmierć chory!

Zmilkły wyczerpane wspominkami. Kłębowa zapatrzyła się wskroś sadu na daleką topolową drogę, wiodącą do miasta, i popłakiwała z cicha nos ciężkiem ucierając...

Potem zaś krzątając się pilnie kiele narządzania obiadu opowiadała z wolna wszystko, co się stało we wsi przez zimę, a czego Agata zgoła nie wiedziała.

Aż stara rozpletła ręce i pochyliła się ku ziemi ze zgrozy i zdumienia, bo te nowinki kiej kamienie spadały na nią i przejmowały duszę taką zgryzotą i bólem, że chlipać cicho poczęła.

– Mój Boże, tam we świecie ciężkiem myślałam o Lipcach, ale żeby takie sprawy się działy, to mi nawet i do rozumu nie przychodziło... a tom nawet póki życia długiego i nie słyszała o podobnym! Złe się tutaj osadziło na dobre czy co?

– Juści, że jakby na to przychodziło!

– A może jeno dopust Boży za złość ludzką i grzechy!

– Pewnie, że nie inaczej. Pan Jezus karze choćby za takie śmiertelne grzechy, jako to Antka z macochą. Nowe zaś przewiny idą, stają się na wszystkich oczach!...

Już Agata bojała się rozpytywać o więcej, tylko podniosła

roztrzęsioną rękę i jąta się śpiesznie żegnać pacierz mamląc gorący!

– Nieszczęście takie padło na cały naród i Boryna też leży bez duszy, a powiedają – ściszyła głos obzierając się strachliwie – jako Jagusia już się na dobre z wójtem sprzęgła... Nie stało Antka, brakło Mateusza, brakło i drugich parobków, to dobry pierwszy z brzegu, byle jeno wygodził... O świecie, świecie!... – jęknęła załamując ręce ze zgrozy.

Stara się już nie ozwała, poczuła się z nagłą utrudzoną i tak przejętą tymi nowinkami, że powlekła się do obórki wypoczywać.

Dopiero o samym zachodzie dojrzeli ją wlekącą się na wieś do znajomków, powróciła zaś, kiej już u Kłębów siedzieli przy wieczeryzanych miskach.

Łyżka na nią czekała i miejsce, juści nie pierwsze, ale zawždy nie ostatnie, bo przy Kłębowej, jeno że pojadała mało wiele, kiej to dzieciątko przebierne, pogadując z cicha o świecie, to o tych odpustowych miejscach, które była schodziła, aż się niemało temu nadziwowali.

Zaś kiej już noc zapadła, że nawet i zorze grające po szybach przygasty, i wieś do cna ogłuchła, zapalili w izbie światło i jęli się z wolna do snu sposobić, wtedy Agata wyniesła swoje torbeczki pod światło wyjmując z wolna różne różności, jakie przyniosła.

Otoczyli ci ją zwartym kołem tając przydechy i dziw jej nie zjadając rozgorzałymi oczyma.

A ona najpierw po obraziku poświęcanym rozdała każdemu,

potem zaś sznury paciorków dziewczuchom, a tak pięknych, że ino grały farbami, wrzask się bez to uczynił w izbie, tak jedna przez drugą cisnęły się do lusterka, przymierzając, cieszyć się sobą i szyję wzdymać kiej te indory napuszone; a to i koziki sielne, prawdziwie misiarskie znalazły się la chłopaków, i cała paczka machorki dla Tomasza, w ostatku i la Kłębowej wyjęła fryzkę szeroką, wzburzoną i kolorową nicią obdzierganą, że gospodyni aż wręcz plasnęła z wielkiej kontentności...

I wszyscy radowali się niemało, nie raz i nie dwa oglądając te śliczności i ciesząc oczy podarunkami, a ona rada wielce, z niemałą lubością powiedała, co ile kosztuje i gdzie to kupione.

Długo w noc przesiedzieli poredzając jeszcze o nieobecnych.

– Aż strach za grdykę łapie, tak cicho na wsi! – zauważyła w końcu Agata, gdy przymilkli i opadło ich głucho, martwe milczenie. – Gdzie to po inne roki, w tym zwiesnowym czasie, to aże się wieś trzęsła od wrzasków i śmiechów!...

– Bo jako ten grób otwarty widzi się cała wieś, że jeno kamieniem przywalić i krzyże postawić... że nawet pacierza nie będzie miał kto zmówić ni na mszę dać... – potwierdziła smutnie Kłębowa.

– Prawda! Pozwolicie, gospodyni, to bym ano na górkę poszła, kości me bolą po drodze i oczy już śpik morzy.

– A śpijcie, gdzie wama do upodoby przylegnać, miejsca nie brakuje.

Stara wnet pozbierała sakwy i jęła się w sionce skrobać po drabce, gdy Kłębowa zaczęła mówić za nią przez wywarte drzwi:

– Hale! małam nie zahaczyła wama powiedzieć, że wzięlim waszą pierzynkę ze skrzyni... Marcycha chorzała w zapusty na krosty... ziąb był taki, przydziać nie było czym... tośwa se pożyczyci od waju... pierzyna już wywietrzona i choćby jutro a zanie sie ją na górę...

– Pierzynę... wasza wola... juści, kiej było potrza... juści... Chyciło ją tak cosik za gardziel, że urwała; dowlekła się po omacku do skrzyni, przykucnęła i podniósłszy wieko jąta śpiesznie drżącymi rękoma bładzić i obmacywać swoje wiano śmiertelne...

Juści... pierzyny nie było... a nową całkiem ostawiła... w czystym obleczeniu... ni razu nie używaną... dyć ją z tych należnych piórek po pastwiskach uścibała... byle mieć na tę ostatnią skonania godzinę...

A wzieni ją... wzieni...

Płacz ją taki chycił żałościwości pełen, że dziw jej serce nie pękło.

I długo pacierz mówiła łzami go polewając gorzkimi, długo płakała i boleśnie a cichuśko skarżyła się Jezusowi kochanemu na krzywdę swoją...

Noc musiała już być duża, bo ano kury piac zaczynały na północek albo i na odmianę.

## II

Nazajutrz była Palmowa Niedziela.

Jeszcze dobrze przed słońcem, ale już o dużym dniu, wyjrzała z Borynowej chałupy Hanka, w wełniak jeno przyodziana i jakąś chuścinę, że to ziąb był na świecie galanty.

Zajrzała aż za opłotki na drogę czarniawą, rosami opita, a gdzieś oszroniała. Pusto było jeszcze i ni znaku życia, świt jeno skrzył się suchy i przyodziewał zmartwiałe czuby drzew w modre obleczenia, zaś resztki nocy czały się strachliwie pod płotami.

Powróciła na ganek i z trudem przyklękawszy, że to leda tydzień spodziewała się rodów, jęła mówić pacierz błędząc po świecie zaspanymi oczyma.

Dzień zaś roznosił się z wolna białawą pożogą, zorze przecierały się kieby przez sito, brzaskami osypując wschodnią stronę, która podnosiła się coraz wyżej niby ten złoty baldach nad promieniejącą już, ale jeszcze niewidną monstrancją.

Że zaś przymrozek był z nocy, to płoty, mostki, dachy i kamienie polśniewały szronem, a drzewa stały kiej chmury przebielone.

Więć jeszcze spała w przyziemnych mrokach utopiona, że jeno poniektóre chałupy bardziej przy drodze wyłupywały się nieco jaśnią bielonych ścian, zaś po omglonej gładzi stawu wlekły się długachne, czarniawe pasma prądów, jakoby szkliwa tężejące.

Młyn gdzieś hurkotał bez przestanku, a jakaś niewidna rzeczka mrowiła się po kamieniach cichuśkim, przytajonym bełkotaniem.

Kokoty piały już na umor i ptaszyny różne zgwarzały się z cicha po sadach jakoby w tym pacierzu społecznym, kiej Hanka przecknęła, śpik ją ano zmorzył i strudzone, niewywczasowane kości ciągnęły pod pierzynę, ale się nie dała, szronem przetarła oczy i nalazłszy to zagubione słowo pacierza poszła w podwórze nagłądać chudoby a budzić śpiące.

Najpierw wywarła drzwi do wieprzka, któren usiłował na przednie kulasy się zwlec, ale że spaśny był wielce, zwałił się na gruby zad i jeno chrząkającym ryjem wodził za nią, gdy mu żarcie przegarniała dorzucając niecoś świeżego.

– Portki tak ciężą, że ci i na kulasy niełacno; jak nic ma na cztery palce słoniny. – Obmacała mu boki z lubością.

Otwarła potem do kur porzuciwszy przed progiem na przynętę świńskiego jedzenia przygarścią, że sfruwały z grzęd skwapliwie, koguty zaś piał wzięły rozgłośnie.

Gęsi, zawarte pobok, przyjęły ją gęganiem i sykami; wygnała precz gęsiory, iż wnetki wojnę uczyniły z kurami, a zaczęła wyciągać spod matek, siedzących w gniazdach, jaja i przepatrywać je pod światło.

– Leda godzina kluć się będą – myślała nasłuchując cichego, ledwie odczutego dziobania w jajach.

Rychtyk i Łapa wylazł z budy, kiej szła ku stajni, przeciągnął się a ziewał, nie bacząc na syczące nań gęsiory.

– Hale! próżniaczysko, niby parob noc przesypia, coby stróżował!

Pies pomachał ogonem, szczeknął radośnie, buchnął przez kury, aż się pierze posypało, i dalejże drzeć się do niej, skakać do piersi, a polizywać ręce, że rada nierada pogłaskała go po łbie.

– Drugi człowiek a tak czujący nie będzie, jako to stworzenie. Miarkuje jucha gospodarza! – Wyprostowała się ździebko wodząc oczyma po oszroniałych dachach, bo jaskółki, siedzące rzędem na kalenicy, zaświegotały pięściwie.

– Pietrek! Dzień ano kiej wół! – zakrzyczała bijąc pięścią we drzwi stajni, a posłyszawszy mruczenie i odsuwanie zawory wywarła drugie zaraz drzwi do obory.

Krowy leżały rzędem przed żłobami.

– Witek! A to śpi pokraka, kiej po weselu!

Chłopak się wraz przebudził, skoczył z pryczy i jął pośpiesznie wciągać portczyzny i cosik mamrotać strachliwie.

– Przyrzuc krowom siana, by przejadły do udoju, i zaraz przychodź skrobać ziemniaki. A łysuli nie dawaj, niech ją sama pasie – dodała twardo, bo była to krowa Jagusi.

– Tak ją pasą, aż krowa ryczy i z głodu słomę spod siebie wyjada.

– A niech zdycha, nie moja strata! – szepnęła zawzięcie.

Witek jeszcze tam cosik mruknął, ale skoro wyszła, gruchnął się w poprzek barłogu z obertelkiem w garści, byle jeszcze z pacierz zadrzemać.

Hanka zaś poszła jeszcze do stodoły, gdzie na klepisku

okryte słomą leżały ziemniaki przebierane do sadzenia, i zajrzała pod szope, kędy składali wszelki sprzęt gospodarski. Łapa wyskakiwał przed nią, co chwila zbaczając do gęsiorów i wojnę z nimi czyniąc, aż wszystko obejrzawszy baczenie, czy jakiej szkody z nocy nie ma, jak to czyniła co dnia, polazła do przełazu, wyrzeć w pola na oziminy.

Zaczęła znowu mówić przerwany pacierz.

Słońce też już wstało, wskroś sadów powiała wichura płomieni, że szrony się zaiskrzyły i rosy jeły skapywać z drzew; wiaterek też się poruszył i gmerał cichuśko w gałęziach, skowronki dzwoniły coraz rzęsiściej, a we wsi, na drogach czynił się ruch, słysząc było chlustanie wody przy nabieraniu ze stawu, wrótnie kajś niekajś darły się zardzewiałe, to gęsi gdziesik krzyczały i pies naszczekiwał albo i głos ludzki rozbrzmiewał w porankowej cichości.

Wieś się budziła później ździebko, że to niedziela była i kaźden rad dłużej wylegiwał pod pierzyną spracowane kości.

Hanka na nic nie baczyła, zstępując w siebie, w te różne myśle, jakie ją oprzędły, że pacierz jeno wargami mówiła, daleko od niego duszą i cała we wspomnieniach utopiona.

Podniosła ciche, opite radością oczy na pola szerokie, zawarte ścianą dalekiego lasu, po którym rozlewały się płomienie wschodu, iż spośród modrawych gąszczów wybłyskiwały bursztynowe, grubachne chojary; zaś wszystkie ziemie jakoby drgały w złotych, budzących brzaskach; ozime zboża mokrą, zielonawą wełną otulały zagony, a kajś niekaj po bruzdach lśniły

się poniki wody kiej te srebrne strużyny, niesły się z pól wilgotne, chłodne przydechy wraz z tą świętą cichością wiośnianą, w jakiej to rośnie wszystko i na świat się jawi...

Nie za tym jednakże patrzała i nie tego.

Jawiły się ano w niej przypominki bied, głody, krzywdy, Antkowe przewierstwa, bóle kiej góźdz raniące i tych smutków i utrapień tylachna, że aż ją dziw brał, jako to poredziła przemóc i przemogła, i doczekała się, że oto Pan Jezus przemienił wszystko na lepsze...

Przeciech na gospodarce jest znowu, na ziemi.

A kto mocen jest wyrwać ją stąd? Któren poredzi!

Zmogła już tyła, przecierpiała bez te pół roku, że drugi człowiek bez całe życie nie przecierpi, to udźwignie, co ta na nią Panu Jezusowi spuścić się spodoba, wydzierży i doczeka się Antkowego ustatkowania i że te ziemie będą ich na wieki.

Trzy niedziele całe, a jej się widzi, jakoby to wczoraj się stało, kiej chłopy szły na las...

Nie poszła z inszymi, bo ano w jej stanie ciężko było i nieprzeznacznie...

Turbowała się jeno o Antka, bo zaraz jej rzekli, jako z narodem się nie złączył i nie poszedł; rozumiała, iż to na złość staremu zrobił, a może i la tego, by się w ten czas gdzie z Jagusią zwieść...

Żarło ją to, ale wypatrywać go przeciech nie poszła.

Aż tu przed samym południem przylatuje Gulbasiak i wrzeszczy:

– Pobilim dworskich! pobilim! – i kiej wściekły pognał dalej.

Zmówiła się z Kłębową i poszły naprzeciw. Dominikowej chłopak nadbiegał i już z dala krzyczy:

– Boryna zabit, Antek zabit, Mateusz i drugie!... – zatrzepał rękoma, cosik zamamrotał i padł, że trza mu było nożem zęby ozwierać, by wlać wody, tak go ścisnęło z utrudzenia.

A jej wtedy dusza ze strachu zakrzepła na ten lity kamień.

Szczęściem, że nim jeszcze chłopaka docucili, wywalili się z boru na drogę i powiedali, jak było, a może w pacierz sama już dojrzała przy ojcowym wozie Antka żywego: jako trup był siny, okrwawiony, zgoła nieprzytomny.

Juści, że ją płacz chwycił i boleść ozdierała, ale się przemogła, ile że ją ociec, stary Bylica, odciągnął na bok i cicho powiedział:

– Stary wnet zamrze, Antek o Bożym świecie nie wie, a w Borynowej chałupie nikogój, jeszcze się kował tam wniesie i nikto go już nie wygoni!...

Zmiarkowała rychło, że w dyrdy poleciała do chałupy, zabrała dzieci i co było na podorędziu ze szmat, resztę zaś zdała na Weronczyną opiekę i przeniosła się chybcikiem na dawne miejsce, po drugiej stronie Borynowej chałupy.

Jeszczech Borynę opatrywał Jambroży, jeszczech ludzie byli się nie rozeszli, jeszczech cała wieś wrzała uciechą a gdzie jękami pobitych, a ona cichuśko się wniesła i osiadła na amen.

A stróżowała pilnie: toć Antkowy też był gront, a stary ledwie zipał i mógł leda pacierz wyciągnąć kulasy.

Wiadomo przecież, iż którego pierwszy dopadnie dziedzictwa i wczepi weń pazury, to i niełacno go oderwać, i prawo za sobą będzie miał.

Co jej tam znaczyły kowalowe krzyki a groźby, którymi jej bronił wstępu, srodze zgniewany, iż go uprzedziła!

Pytać się to miała kogój o przyzwolenstwo, chyciła się ziemi, a jak ta suka warowała i broniła swojego, pewna rychłej śmierci starego i że Antka wezmą, bo ją był o tym uprzedził Rocho.

To i komu się to miała oddać w opiekę? Kiej wiadomo, że jak się sam człowiek nie przyłoży, to mu i Pan Jezus nie dołoży.

Nie płaczem i skamlaniem dochodzi się swego, a jeno tymi kwardymi, nieustępliwymi pazurami – wiedziała ci ona już o tym, wiedziała!

Więc choć i Antka wzieni, uspokoiła się rychło, bo co poredzisz przeciw doli, człowieku? czym się oprzesz, kruszyno?

Gdzie zaś to był i czas na długie lamenty i wyrzekania, kiej tylachne gospodarstwo wzięła na swoją głowę!

Przecież sama ostała kiej ten kierz na rozdrożnym wywieisku, jeno że się nie cofnęła przed robotą ni ludzi nie ulękła. A przeciwko niej była Jagna; byli kowalowie, zawzięci na nią, że niech Bóg broni; był wójt, którego było swoje zamysły na Jagnę powziął i bez to sielnie się nią opiekował; był nawet dobrodziej, rychtowany na sprzeciw przez Dominikową.

Tyle że jej nie przemogli, nie dała się niczemu, co dnia głębiej wrastając w ziemię i krzeczniej dzierząc w garściach rządy, iż ledwie po dwóch niedzielach, a już wszystko szło jej wola,

rozumem a mocą.

Ona zaś ni dojadła, ni dospała, ni wypoczęła harując nikiej ten wół w jarzmie od świtania do nocy późnej.

Jeno że to niezwyczajna była ni takiej pracy, ni stanowienia o wszystkim swoją głową, a wielce z natury nieśmiała i przez Antka zahukana, to jej tak ciężko nieraz przychodziło, aż ręce opadały.

Ale krzepił ją strach, by z gospodarki nie wysadzili, a i ta zawziętość przeciw Jagnie.

Zresztą z czego ta jej moc szła, to szła, dość że się nie dała, urastając we wszystkich oczach na niemały podziw i uważanie.

– A to! przódzi się widziała, jako trzech nie zliczy, a teraz ci już za dobrego chłopa stanie – powiedały o niej co najpierwsze we wsi gospodynie, że nawet Płoszkowa i drugie rade przyjacielstwa z nią szukały, chętnie wspomagając dobrym słowem i czym jeno mogły.

Juści, że wdzięcznym sercem przyjmowała nie stowarzyszając się jednak zbyt i nie ciesząc z ich łask, bo niełacno zapominała krzywd niedawnych.

Nie lubiła pleść bele czego, to i nie potrza jej było sąsiedzkich ugwarzań ni tego w opłotkach wystawiania la obmowy.

Mało to swoich miała frasunków, bych się jeszcze cudzym turbować!...

Właśnie wspomniało się jej o Jagnie, z którą wiedła zażartą, milczącą i nieustępliwą wojnę, o Jagusi, której samo przypomnienie było jako to żgnięcie w serce, że i teraz poderwała się z miejsca żegnając się śpiesznie, a bijąc w piersi

na dokończeniu pacierza.

Zeżliła się jeszcze bardziej, iż w chałupie spali, a i w podwórzu było cicho.

Skrzyczała Witka, spędziła z barłogu Pietrka, dostało się przy tym i Józce, że słońce na chłopa, a ona się wyleguje.

– Jeno z oka spuścić na ten pacierz, a wszystkie po kątach śpią! Mamrotała rozpalając ogień na kominie.

Wywiedła dzieci na ganek i wetknąwszy im po glonku chleba przywołała Łapy, by się z nimi zabawiał, a sama poszła zajrzeć do Boryny.

Ale na ojcowej stronie było jeszcze całkiem cicho, że ze złością huknęła drzwiami; nie przebudziło to Jagny, stary zaś tak samo leżał, jak go była ostawiła wieczorem: na pasiatoczerwonej pościeli leżała jego sina, obrośla twarz, wychudła i tak zmartwiła, że podobien się stał do onych świątków w drzewie rzezanych; otwarte szeroko oczy patrzyły przed się nieruchomo nic zgoła nie widzące, głowę miał owiazaną szmatami, a rozwiedzione szeroko ręce zwisały martwo kiej te nadrażbane gałęzie.

Poprawiła mu pościeli strzepując pierzynę bardziej na nogi, że to gorąco było w izbie, a potem nalewała mu po ździebku do ust świeżej wody: pił z wolna, aże mu grdyka chodziła, ale się nie poruszył; leżał wciąż kiej ta kłoda zwalona, jeno w oczach zaświeciło mu cosik, jak kiedy rzeka spod nocy się przetrze i rozbłyśnie na jedno oczymgnienie.

Westchnąwszy nad nim żałośnie, trzasnęła znowu trepem w

wiaderko ciskając rozsrożonymi oczyma po śpiącej.

Ale Jagusia i tak nie przecknęła; leżała ano na bok, twarzą na izbę, pierzynę snadź z gorąca zepchnąwszy do pół piersi, że ramiona i szyja leżały nagie, zrumienione i ździebko ruchające się w cichym dychaniu; przez rozchylone, wiśniowe wargi lśniły się jej zęby kiej te paciorki najbielsze, a rozplecione włosy burzyły się po białej poduszce spływając aż na ziemię kiej ten len najczystszy, w słońcu wysuszony.

– Zedrzeć ci ino pazurami tę gębusię, a nie wynosiłabyś się urodą nad drugie! – szepnęła Hanka z taką nienawiścią, aż ją w sercu zakłuło i same palce się sprężyły do darcia, ale bezwolnie przyglądała sobie włosy i zajrzała w lusterko, wiszące na okiennej ramie; cofnęła się jednak prędko dojrzwawszy swoją twarz wynędzniałą, pokrytą żółtymi plamami, i zaczerwienione oczy.

– Niczym się nie umartwi, dobrze się nażre, w ciepłe się wyśpi, dzieci nie rodzi, to nie ma być urodna! – pomyślała z taką goryczą, że wychodząc drzwiami trzasnęła, aż szyby zabręczały.

Obudziła się wreszcie Jagna. Jeno stary leżał wciąż bez ruchu, wpatrzony przed się.

Leżał już tak całe trzy niedziele, od kiela go z lasu przywieźli. Czasem się jeno jakby budził, Jagny wołał, za ręce ją brał, cosik chciał rzec i znowuj drętwiał nie przemówiwszy ni słowa jednego.

Już mu i Rocho przywoził z miasta doktora, któren go obejrzał, na papierku cosik przepisał, dziesięć rubli wziął, leki

też kosztowały niemało, a rychtyk pomogło tyle, co i te darmowe Dominikowej zamawiania.

Zrozumieli rychło, jako się już nie wylize, i ostawili go w spokojności. Wiadomo jest, że kiej kto na śmierć choruje, to żeby mu już nie wiem jakie leki a doktory zwoził, zamrzeć musi, a ma zaś ozdrowieć, i bez niczyjej pomocy ozdrowieje.

Więc mieli kole niego tyle już jeno starunków, co mu ta często odmieniali na głowie zmoczone szmaty, wody pić podając albo i ździebko mleka, bo jeść nie mógł, że mu się to wszystko zwracało.

Miarkowali też ludzie, a najbardziej Jambroży, jako praktyk był wielki, iż jeśli Boryna do rozumu nie przyjdzie, to śmierć będzie miał letką i rychłą. Spodziewali się jej co dzień i nie przychodziła; aż się już mierziło to długie czekanie, boć trza go było pilnować i jaką taką dawać opiekę.

Jagny to było psie prawo doglądać i przy nim dulczyć – cóż, kiej nie poredziła i godziny w chałupie wysiedzieć? Stary obmierzył jej do cna i ciążyła ta ciągła wojna z Hanką, która ją odsuwała od wszystkiego i pilnowała gorzej złodzieja – to i nie dziwota, że ciągnęło ją na świat, że chciało się jej lecieć na te ugrzane przypołudnia, pomiędzy ludzi, na wolność, to zdawała pilnowanie Józce i niesła się nie wiada gdzie, iż nieraz dopiero wieczorami wracała...

Józka zaś tyle go jeno doglądała, co przy ludziach: skrzat był to jeszcze głupi a latawiec. Hanka więc i to musiała wziąć na swoją głowę i o chorego dbać, bo chociaż i kowalowie mało

dziesięć razy na dzień zaglądali, to jeno po to, by jej pilnować, czy czego z chałupy nie wynosi, a głównie czekali, iż może stary przemówi jeszcze i majątkiem rozporządzi.

Żarli się przy tym jako te psy kiele zdychającego barana i przepierali z warkotem, kto pierwej chyci kłami za lelita i jaką sztuczkę la siebie wyszarpie; tymczasowie zaś kował, co ino upatrzył, co mu tylko w pazury wpadło, to porywał, choćby i stary postronek albo kawał deski z garści trza mu było wrywać i na każdym kroku pilnować, że dzień nie przeszedł bez kłótni a srogich pomstowań.

Powiadają: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, i prawda, ale kował umiał wstawać i o północku, lecieć choćby na dziesiątą wieś, jeśli jeno szło o dobry zarobek; chłop był chciwy na grosz i tak zabiegliwy, jak mało któren.

Oto i teraz, ledwie co Jagna z łóżka wylazła i wełniaki na się wdziała, drzwi skrzypnęły i on się cicho wsunął prosto idąc do chorego.

– Nie gadał czego? – zajrzał mu z bliska w oczy.

– Dyc leży, jak leżał! – odburknęła zbierając włosy pod chustkę.

Bosa jeszcze była, w koszuli, ździebko rozespana i taka urodna, a jakowymś prażącym ciepłem buchająca i lubością, że powiódł po niej zmrużonymi ślepiami.

– Wiecie – przysunął się tuż do niej – organista wygadał się przede mną, że stary musi mieć sporo gotowego grosza, bo jeszcze przed Godami chciał dać chłopu z Dębicy całe pięćset

rubli; o procenta się jeno nie zgodzili. Muszą te pieniądze być schowane gdzie w chałupie... Uważajcie pilnie na Hanke, bo jakby chyciła przed nami, już by ich ludzkie oko nie zobaczyło... Moglibyście z wolna, kryjomo przepatrywać wszystkie kąty, jeno by nikt się nie pomiarkował... Słuchacie to?

– Co by zaś nie! – okryła ramiona zapaską, bo jakby ją obmacywał tymi złodziejskimi ślepiami.

Przeszedł się kołujący po izbie i niby od niechcienia zaglądał za obrazy, wyszukując przy tym pilnie, gdzie popadło.

– Macie to klucz od komory? – łypnął ślepiami na małe, zawarte drzwi.

– A wisi na Pasyjce pod oknem.

– Dłutam mu pożyczyl, będzie już z miesiąc, a teraz mi potrzebne i nikaj go naleźć nie mogę. Myślę, co tam w rupieciach zarzucone...

– Szukajcie sami, ja go wama nie wyślípam.

Odstąpił od drzwi, bo rozległ się w sieni głos Hanki, klucz na miejscu powiesił i za czapkę wziął.

– To jutro poszukam... pilno mi bieżyć do dom... Rocho przyjechał?

– Ja to wiem? Spytajcie Hanki!

Postał jeszcze ździebko, poskrobał rudych wąsów, a oczy to mu jak te złodzieje latały po kątach; zaśmiał się cosik do siebie i poszedł.

Jagna zrzuciła zapaskę i jeła się słania łóżka i drugich uprzętań, rzucając niekiedy przyczajone spojrzenia na męża, i tak

zawždy chodziła po izbie, by się nie natknąć na jego oczy, wciąż rozwarte.

Juści, że był jej obmierzły, bojała się go i nienawidziła całą mocą za wszystkie krzywdy doznane, a ile razy ją wołał i brał w swoje rozpalone i lepkie ręce, zamierała z obrzydzenia i strachu, tak śmiercią wiało od niego i trupem, ale pomimo wszystkiego może jeno ona jedna najszczerzej pragnęła, by wyzdrowiał.

Teraz ci dopiero miarkowała, co straci, skoro go nie stanie; przy nim gospodynią się czuła, słuchali jej wszyscy, a drugie kobiety czy dzieuchy rade nierade uważać ją i ustępować pierwszego miejsca musiały – jakże! Borynową przeciech była – Maciej zaś, chociaż w domu był kąśliwy kiej pies i dobrego słowa nie dał, ale przed ludźmi wielce dbał o nią i strzegł, by jej kto nie śmiał nie poszanować.

Nie rozumiała ona tego przódzi, dopiero kiej Hanka zwałała się do chałupy i górę nad nią brać poczęła, odsuwając od panowania, poczuła swoje opuszczenie i krzywdy.

Nie o gront jej szło przecież – co jej tam były majątki?... tyle stała o nie akuratnie, co o łońskie lato, a chociaż już się zwyczaiła do rządów i rada była wielce wynosić się a puszyć bogactwem, i rozpierać na swoim, to i za tym by nie płakała, bo u matki było jej też niezgorzej – ale jedno ją ano gnębiło boleśnie, że przed Hanką ustępować musi, przed Antkową kobietą: to ją przypiekało do żywego budząc złość i chęć robienia na sprzeciw.

Juści, że ją i matka podmawiała, i kował rychtował codziennym podjudzaniem, bo sama z siebie to by może rychło

ustąpiła. Tak ją już mierzyły te wojny, że nieraz chciała wszystko ciepnąć i przenieść się do matki.

– Ani się waż! siedzź, póki nie zamrze! waruj swojego! – nakazywała srogo stara.

To i siedziała, choć cknęło się jej nieopowiedzianie – jakże? całe dni nie było do kogo gęby otworzyć ni pośmiać się z kim, ni wybiec do kogo...

A w domu pojękiwał stary, była Hanka zawsze gotowa do kłótni, szła ciągle wojna, że już zgoła było nie do wytrzymania.

U matki też było nie sposób wysiedzieć.

To latała z kądzielą po chałupach – ale mogła to i tam wytrzymać, kiej we wsi były same kobiety, rozkisle, rozplakane, rozwrzeszczane, jako te dni marcowe, a wszędy, jako ta nie ustająca litania, wyrzekania, a nikaj żadnego parobka, choćby na lekarstwo!

Że już ni miejsca, ni rady dać sobie nie mogła.

Do tego zaś często, coraz częściej nawiedzały ją wspominki o Antku.

Prawda, jako pod sam koniec, nim go wzięli, wielce ku niemu ochłodziła i te spotykania już były jeno strachem i męką; na ostatku zaś ukrzywdził ją jeszcze tak bardzo, aż dusza pęczniała żalem na przypominki... ale miała wyjść do kogo, wiedziała, że tam, pod brogiem, o każdym zmierzchu czeka na nią i wypatruje... że jest ktosik, któremu lubo się słuchać... To choć się trzęsła z trwogi, by nie wypatrzyli, choć i on nieraz skrzyczał za długie czekanie, ochotnie biegła zapominając o całym świecie,

gdy ją przygarnął do siebie krzepko, niby ten smok ognisty, i brał, ni pytając o przyzwolenie... Ni w myśli powstało opieranie, kiej ścisnął, aż ją mdliło w dołku, i takim warem przejmował.

Nieraz do północkska zasnąć nie mogła, chłodząc rozpaloną całunkami twarz o zimną ścianę, wzburzona do dna i pełna w kościach onych słodkich, prażących ogniem wspominań!

A teraz jest jak ten kołek sama, nikt jej nie podpatruje, nikt nad nią prawa nie ma, ale i do nikogo się nie wydziera, nikto już jej tam za przełazem nie czeka i nikto nie przyniewala...

Że wójt za nią chodzi, podskubuje, słodkie słówka prawi, do płotów przyciska, do karczmy na poczęstunek ciągnie i rad by ją dla siebie zniewolił, to ino bez to mu przyzwala, że ckni się jej wielce i nie ma z kim drugim się pośmiać, ale tak mu do Antka kiej psu do gospodarza!

I przez złość to jeszcze robi la całej wsi i la tamtego.

Sposponował ci on ją i sponiewierał na ostatku! Jakże – całą noc i cały dzień przesiedział w chałupie przy starym, nawet spał na jej łóżku, krokiem się prawie z izby nie ruszał, a jej jakby nie dojrzał, choć wciąż stawała przed nim jak ten pies, skamląc oczyma o zmiłowanie.

Nie spojrzął na nią, ojca jeno widział a Hankę i dzieci, psa nawet.

To może i bez to już do cna straciła serce do niego, i całkiem się w niej przemieniło naprzeciw, bo kiej go brali w kajdany, wydał się jakimś drugim, obcym zgoła i tak obojętnym, że nie potrafiła go żałować, a nawet ze skrytą radością przyglądała się

Hance, jak ta włosy rwała łbem tłukąc o ścianę i wyjąc niby suka za topionymi szczeniętami.

Cieszyła się mściwie z jej udręki, odwracając z odrazą oczy od jego twarzy strasznej, jakoby wpółobłąkanej.

Tak się wtenczas obcym stał dla niej, że nawet nie umiałaby go sobie teraz przypomnieć, jak człowieka raz jeden widzianego.

Ale tym ci lepiej baczyła tamtego Antka, tamtego z dni miłowań i szatów, z dni schadzek i przytulań, całunków i uniesień... tamtego, ku któremu teraz, w nie spane często noce wydzieraa się jej dusza i rozprężone udręką serce krzyczało żalem i tęsknicą nieopowiedzianą.

Do tamtego... z tamtych dni szczęścia rwała się Jagusina dusza, ani wiedząc, kędy jest i żywie-li on gdzie we świecie szerokim...

Ano i teraz snuł się jej przez pamięć jako ten sen luby, z którym się ciężko rozstawać, kiej znowu rozległ się wrzaskliwy głos Hanki.

– Kiej pies odarty tak się wydiera i dunderuje! – szepnęła rozbudzona z przypominków.

Słońce już bokiem zaglądało rozczzerwienając mroczną izbę, ptaki radośnie ćwierkały w sadzie, podnosiło się ciepło, bo z dachów kieby szklanymi paciorkami spływał przymrozek, a przez wywarte okno wraz z wietrzykiem porannym buchał krzyk gęsi trzepiących się w stawie.

Krzątała się po izbie kiej szczygieł, z cichą przyśpiewką, boć to niedziela była i czas nadchodził szykowania się do kościoła

z palmami, już owe pędy łoży czerwonej, pokryte srebrzystymi kotkami, stały w dzbanku od wczoraj, pomdłałe nieco, że to im wody zapomniała nalać. Poczęła je właśnie troskliwie cucić, gdy Witek wrzasnął przez drzwi:

– Gospodyni kazali, byście swoją krowę napaśli, aż z głodu ryczy!

– Powiedz, że wara jej do krowy mojej! – odkrzyknęła w cały głos nasłuchując, co tamta wyszczekuje na odzew.

– A pyskuj, póki ci gęba nie ustanie: nie dowiedziesz me dzisiaj do złości!

I jęła najspokojniej wybierać ze skrzyni ubiory rozkładając je po łóżku, rozpatrując, w jakie by się przyodziać do kościoła; naraz, kiej ta chmura padnie na słońce, iż się wszystek świat przyciemni, tak ci i w niej dziwnie pomroczało. Po cóż się to przybierać będzie i stroić? dla kogo?

La tych babskich ślepiów, zazdrośnie taksujących każdą jej wstążkę i potem za to obnoszących ją na ozorach?

Odbiegła strojów z niechęcią i siadłszy w oknie cesała jasne, bujne włosy, smutnie spozierając na wieś, w słońcu już całą i w topliwych rosach połyskującą; domy kajś niekaj przebielały się ze sadów i słupy niebieskich dymów buchały w górę, zaś na drodze, po drugiej stronie stawu, całkiem przysłonionej drzewami, przechodziły niekiedy kobiety, bo widziała czerwień wełniaków odbitą we wodzie i jak się przesuwwały wskroś mdlejących już cieniów drzew nadbrzeżnych; potem gęsi przeplływały białymi sznurami, że się wydawało, jakoby płynęły wskroś modrej topieli

nieba odbitego, ostawiając za sobą te czarniawe, półkoliste kręgi kiej węże cicho pełznące; to chybotliwe jaskółki przewijały się niziutko łyskając białymi brzuchami, a gdziesik znowu u wodopojów krowy porykiwały lub pies naszcze kiwał.

Zagubiła wnet pamięć tych rzeczy topiąc oczy w górze, wysoko, gdzie na modrym niebie pały się stada chmur, białym, wełnistym barankom podobne, bo gdziesik spod nich, w wysokościach ciągnęło jakieś niedojrzane ptactwo, że jeno krzyk długi a jękliwy rozsypywał się nad ziemią rzewliwie, aż ją od tych głosów sparło cosik pod piersiami, a nagła, z dawna już czająca się tęsknica ścisnęła serce, że wodziła przygasłymi oczyma po rozruchanych drzewach, po wodzie, kaj i owe chmury zdały się płynąć zanurzone w niebieskościach, po wszystkim świecie, nic jeno nie rozpoznając spoza wezbranej tęskności, że łyzy ważne pociekły po zblakłych policzkach kieby te paciorki lśniące rozerwanego różańca i suły się wolno jedna za drugą, i gdziesik na samo dno duszy spływały.

Mogła to zmiarkować, co się jej stało?

Jeno czuła, iż ją cosik rozpiera, podrywa i ponosi, że oto poszłaby na kraj świata, gdzie oczy poniesą, gdzie jeno powiedzie ta tęskność niezmożona. I płakała tak bezwolnie i prawie bezboleśnie, jako to drzewo, obciążone kwiatem w wiośniane poranki, kiej słońce przygrzeje, a wiatry zakolebią, rosi obficie, wpiera się w ziemię, nabrzmiewa sokami rodnymi, a kwietne gałęzie ku niebu podaje...

– Witek! a poproś pięknie tej dziedziczki na śniadanie! –

wrzasnęła znowu Hanka.

Jagna, kieby przecknęła, otarła łyzy, doczesła włosów i poszła śpiesznie.

W Hanczynej izbie już wszyscy siedzieli przy śniadaniu. Z michy kurzyły się ziemniaki, właśnie je była Józka omaszczała śmietaną przesmażoną z cebulą, gdy reszta już bodła łychami wlepiając łakome ślepie w jadło.

Hanka wzięła pierwsze miejsce w pośrodku przed ławą, na której jedli, Pietrek siedział w końcu, a pobok niego przykucał na ziemi Witek, Józka zaś pojadła stojący pilnując dokładania, a dzieci siedziały pod kominem przy niezgorszej miseczce oganiając się łyżkami przed Łapą, któren kiedy niekiedy pojadał razem z nimi.

Jagna miała swoje miejsce od drzwi, naprzeciwko Pietrka.

Jedli z wolna spozierając niekiedy spod łbów.

Darmo Józka trzepała trzy po trzy i Pietrek rzucał jakie słowo, a w końcu i Hanka zagadywała tknięta jej zapłakanyimi, smutnymi oczyma, Jagusia ni pary z gęby nie puściła.

– Witek, a któren ci takiego guza nabił? – pytała Hanka.

– Zwaliłem się o żłób! – Rozczzerwienił się kiej rak i potarł bolące miejsce, porozumiewawczo spoglądając na Józkę.

– Przyniosłeś to już gałązek z palmami?

– Zaraz polecę, ino zjem – tłumaczył się, spiesznie dojadając.

Jagna położyła łyżkę i wyszła.

– Znowuj bąk ją jakiś ukąsił! – szepnęła Józka dolewając barszczu Pietrkowi.

– Nie kaźden umie trajkotać tak cięgiem jak ty. Doiła to już krowę?

– Zabrała szkopek, to pewnie poszła do obory.

– Hale, Józia, trza dla siwuli makuchu ugotować.

– Już siarę odpuszcza, próbowałam dzisiaj.

– Odpuszcza, to leda dzień się ocieli...

– Ciołka będzie miała! – rzekł Witek podnosząc się od jadła.

– Głupi! – szepnął pogardliwie Pietrek popuszczając ździebko obertelek, że to był niezgorzej podjadł, i zapaliwszy od główki papierosa wyszedł razem z chłopakiem.

Kobiety w milczeniu wzięły się do roboty. Józka zmywała naczynia, a Hanka słała łóżka.

– Pójdziecie do kościoła z palmami?

– Idź z Witkiem, Pietrek też może, niech jeno konie obrządzi; ja ostanę, przypilnuję ojca i może Rocho wróci akuratnie i co nowego przyniesie od Antka...

– Nie powiedzieć to Jagustyńce, żeby jutro przyszła do ziemniaków? co?

– Juści, same nie wydołamy, a na gwałt trza je przebierać.

– A i gnój już by rozrzucać!

– Pietrek jutro na południe ma skończyć wywózkę, to od obiadu weźmie się z Witkiem do rozrzucania; co czasu zbędzie, to i ty pomożesz...

Wrzask gęsi podniósł się przed oknami, wpadł zadyszany Witek.

– Że to nawet gęsiom spokoju nie dajesz!

– Szczypać me chciały, tom się ino obraniał!

Rzucił na skrzynię cały pęk wilgotnych jeszcze od rosy złotakowych różeg osypanych bażkami, Józka jeła je układać związując czerwoną wełną.

– Bociek to kujnął cię w czoło? – spytała go po cichu.

– Juści, że nie kto drugi, nie wydaj me ino... – Obejrzał się na gospodynię, wybierającą ze skrzyni świąteczne szmaty.

– A to ci powiem, jak było... Wypatrzyłem, że na noc przed gankiem ostaje... podkradłem się późną nocą, kiej już wszyscy na plebanii spali... i jużem go brał... a choć me kujnął... byłbym spencerkiem go okręcił i wyniósł... kiej psy me zwietrzyły... znają me przeciech, a tak docierały zapowietrzzone, że musiałem uciekać, jeszcze mi nogawice ozdarty... ale nie daruję...

– A jak się ksiądz dowie, żeś mu wziął boćka?

– A kto mu to powie?... A odbierę mu, bo mój.

– A kaj go schowasz, by ci nie odebrali?

– Już ja taki schowek umyśliłem, że i strażniki nie zwąchają... A potem, kiej przepomną, sprowadzę go do chałupy i powiem, com se nowego znęcił i obłaskawił – rozpozna to kto, Józia? Ino me nie wydaj, to ci jakich ptaszków przyniosę albo i młodego zajączka.

– Chłopak to jestem, bym się ptaszkami bawiła? Głupi, przebierz się zaraz, to razem pójdziem do kościoła.

– Józia, dasz mi ponieść palmę? co?

– Zachciało mu się!... dyć ino kobiety mogą nieść do poświęcania!

– Przed kościołem ci oddam, ino przez wieś...

Prosił tak gorąco, aż przyobiecała, zwracając się prędko do wchodzącej właśnie Nastki Gołębianki, już wyszykowanej do kościoła i z palmami w rękę.

– Nie miałaś czego o Mateuszu? – zagadnęła Hanka po przywitaniu.

– Tyle jeno, co wójt wczoraj przywiózł: jako zdrowszy.

– Wójt akuratnie tyle wie co nic albo i wymyśli, czego nie było.

– To samo pono i dobrodziejowi mówił.

– A o Antku to i słowa rzec nie umiał.

– Pono Mateusz siedzi z drugimi, Antek zaś osobno.

– I... tak jeno szczeka, żeby się miał z czym do chałup zamawiać...

– Był to z tym i u was!

– Co dnia zachodzi, ale do Jagusi; ma z nią jakieś sprawy, to się schodzą i przed ludźmi uredzają w opłotkach.

Powiedziała ciszej, z naciskiem, wyglądając oknem, bo w sam raz Jagna schodziła z ganku, wystrojona sielnie, z książką w rękę i z palmami. Długo patrzyła za nią.

– Spóźnita się, dzieuchy, ludzie już całą drogą walą.

– Nie przedzwaniiali jeszcze.

Ale wraz i dzwony się ozwały hukliwie nawołując w dom Pański i bimbały wolno, długo i rozgłośnie.

Że w jaki pacierz, a wszyscy poszli z chałupy do kościoła.

Hanka ostała sama, nastawiła obiad, przyogarnęła się nieco

i zabrawszy dzieci siadła z nimi na ganku, by je wyczesać i przeiskać, że to w tygodniu nie starczyło nigdy czasu.

Słońce podniosło się już dość wysoko i ludzie zewsząd zbierali się do kościoła, co trocha wysypując się z opłotków, że po drogach niby te maki czerwieniały się kobiece przyodziewy i brzmiały pogwary z krzykami dzieci, zabawiających się ciskaniem kamieni po wodzie i za ptakami; niekiedy wozy turkotały, pełne ludzi z drugiej wsi, to chłopcy jakieś, snadź obce, przechodziły pochwalając Boga, aż z wolna wszyscy przeszli i opustoszałe drogi pomilkły.

Hanka wyiskawszy dzieci do czysta zaprowadziła je na słomę przed doły, by się same zabawiały, zajrzała do parkocących garnków i wróciła na dawne miejsce modląc się półgłosem na koronce, że to na książce nie umiała.

Dzień już się podnosił ku południowi, cichość zgoła świąteczna ogarniała wieś, że nikaj głosów żadnych nie było, tyle jeno, co te wróble ćwierkania i świegoty jaskółek lepiących gniazda pod okapami. Czas był ciepły, pierwsza wiosna ledwie co trąciła ziemię i tknęła drzew; niebo wisiało młode, przemodrzone i dziwnie łyskliwe; sady stały bez ruchu, ku słońcu podając gałęzie, nabite spęczniałymi pąkami, zaś olchy, staw brzeżące, niby w cichuśkim dychaniu poruchiwały żółtymi baziami, a pędy topól rdzawe, lepkie i pachnące, a jakoby miodem ciekące, otwierały się na światło niby te dzioby piskłące...

Pod chałupami dogrzewało galanto, że już muchy wyłaziły na

ogrzone ściany, a czasem i pszczoła się pokazywała, z brzękiem padając na stokrotki, patrzące spod płotów, albo się pilnie nosiła po krzaczach, co niby zielone płomienie buchały młodymi listkami.

Ale z pól i od borów zawiewał jeszcze ostry, wilgotny wiatr.

Msza już musiała być w połowie, bo w cichym i jakoby wrzącym wiosną powietrzu przeżyły się głosy śpiewów dalekich, organowe grania i czasem jako ten deszcz rześisty rozsypywały się w mdlejące dźwięki dzwonek.

Czas snuł się wolno i cicho, bo kiej słońce stanęło najwyżej, to nawet ptaki zamilkły, jeno że wrony, czające się złodziejsko za gąsieniami, przewijały się nisko nad stawem, krzyk niecąc gąsiorów; bociek też raz jeden zaklekotał gdzieś i przeleciał blisko, że ino jego cień wielgachny poniósł się po ziemi.

Hanka modliła się żarliwie, bacząc na dzieci, a i do starego zaglądnęła niekiedy.

Ale cóż, leżał jak zawždy, bez ruchu i przed się zapatrzony.

Domierał se tak z wolna, dochodził swojego czasu po ździebku z dnia na dzień, jako to zboże kłosne w słońcu pod ostry sierp dojrzewające... Nie rozpoznawał nikogo, bo nawet wtedy, kiej Jagny wołał i za ręce ją brał, w inszą stronę patrzył; Hance się jeno wydawało, co na jej głos poruchuje wargami, a oczy mu chodzą, jakby chciał cosik rzec...

I tak było wciąż bez przemiany, aż płacz chwycił patrzących.

Mój Jezu, kto by się był tego spodziewał! Taki gospodarz, taki mądrała, taki bogacz, że trudno znaleźć drugiego, a teraz ci leży niby to drzewo piorunem rozłupane, gałązków zielonych jeszcze

pełne, a już śmierci na pastwę wydane...

Nie pomarł przeciech i nie żywie, jeno wszystek już w rękach boskiego miłosierdzia.

O doło człowiekowa, doło nieustępliwa!

O boskich przeznaczeń mocy, która się jawisz, kiej się nikt nie spodzieje, czy w dzień biały, czy też li w noc ciemną, a jednako kruszynę ludzką mieciesz w gorzkiej śmierci strony!...

Dumała nad nim żałośnie poglądając ku niebu, westchnęła raz i drugi, skończyła koronkę i wziąć się musiała do południowych udojów, bo wzdychy wzdychami, a robota pierwsza przed wszystkim.

Kiej wróciła z pełnymi szkopkami, już wszyscy byli w chałupie. Józka powiedała, o czym ksiądz mówił z ambony i kto był w kościele; gwarno stało się w izbie i na ganku, że to kilka rówieśnic z nią przyszło i społecznie łykali te kotki poświęcane, chroniące pono od bólów gardzieli.

Śmiechu było niemało, że to niejedna przełknąć nie mogła i zakrztusiła się, aż wodą popijając, albo ją musiano pięścią grdykać w plecy, by łacniej przeszło, co Witek z wielką uciechą robił.

Jagna jeno nie wróciła na obiad; widzieli ją idącą z matką i kowalami. A ledwie co wstali od misek, kiej wszedł Rocho. Rzucili się witać radośnie, bo bliskim im się stał niby ten dziaduś rodzony, a on się witał cicho, każdemu coś rzekł i w głowę całował, ale gdy mu podano jeść, nie jadł: strudzony był srodze i troskliwie obzierał się po izbie. Hanka warowała jego oczu, a

nie śmiejąc pytać.

– Widziałem się z Antkiem! – rzekł cicho nie patrząc na nikogo.

Zerwała się ze skrzyni, strach ją przejął i za serce ścisnął, że słowa nie mogła wykrztusić.

– Zdrowy całkiem i dobrej myśli. Choć strażnik nas pilnował, rozmawiałem z nim dobrą godzinę.

– W tych żelazach siedzi? – wykrztusiła strachliwie.

– Cóż znowu!... zwyczajnie, jak i drudzy!... nie jest mu tam tak źle, nie bójcie się.

– Bo Kozioł rozpowiadał, jako tam biją i do ściany przykuwają.

– Może tak i bywa gdzie indziej... za co inszego... ale Antka nie tknęli – powiadał.

Spletła ręce z radości, a uśmiech kiej słońce przemknął po niej.

– A na odchodnym zapowiedział, byście na nic nie bacząc wieprzka zabili jeszcze przed świętami, bo i on chce święconego zażyć.

– Głodzą go tam chudziaka, głodzą! – jęknęła zawodliwie.

– Kiej ociec mówili, że jak się podpasie, to przedadzą – zauważyła Józka.

– Mówili, ale kiej Antek przykazują zabić, to jego teraz wola pierwsza po ojcowej – podniosła ostry, nieustępliwy głos.

– I jeszcze mówili, abyście na roli kazali robić wszystko, co potrzeba, na nic się nie oglądając. Powiedziałem, jako tu sobie

zmyślnie poczynacie.

– Rzekł to co na to? powiedział?

Radość ją warem oblała.

– To mi powiedział, że jak zechcecie, poredzicie wszystkimu...

– A poredzę, poredzę! – szepnęła z mocą i oczy jej rozbłyły nieustępliwą wolą.

– Cóż tu u was nowego?

– A nic, jak było... Puszczą go to rychło? – zapytała z dygotem trwogi.

– Może zaraz po świętach, może ździebko później, jak śledztwo skończą... A to się przewlecze, że to wieś cała, tyle ludzi... – odpowiadał wymijająco nie patrząc jej w oczy.

– Pytał się to o chałupę, o dzieci, o... mnie... o wszystkich? ... – zaczęła trwożnie.

– Pytał juści, kolejno powiadałem.

– I... o wszystkich we wsi?...

Strasznie się jej wiedzieć chciało, zali o Jagnę też pytał, cóż kiej nie śmiała zagadać otwarcie, a ubocznie zaś, tak by nie miarkując niczego sam się wygadał, długo się biedząc, nie potrafiła, że i sposobny czas przeszedł, bo się już rozniosło po wsi o jego powrocie, i wkrótce, jeszcze przed nieszporami, zaczęły się schodzić kobiety, ciekawe wielce posłyszeć nieco o swoich.

Wyszedł do nich przed dom i siedząc na przyźbie rozpowiadał, co się był o każdym z osobna wywiedziały, i choć nic

złego nie mówił, a to babskie ciche chlipy jęło się wzmaczać w gromadzie, gdzie zaś i płacz głośny, a gdzie i słowo żałośliwe się wyrwało...

A potem zaś na wieś poszedł wstępując do każdej prawie chałupy, a widział się jako ten świętek z ową białą brodą i wzniesionymi oczyma, któren wszędy niósł te słowa pociechy, a kaj wstąpił, to jakby jasnością napełniały się izby, a w sercach zakwitały nadzieje i dufność krzepiła chwiejne, ale i łzy rzęsiściej płynęły, i odnowione wspomnienia ciężej przygniatały, i żałośliwość tęskliwiej wstawała...

Bo prawdę była rzekła wczoraj Kłębowa do Agaty, iż wieś stała się podobna do grobu otwartego; prawda, bo niby po zarazie widziało się w Lipcach, kiej to większą część narodu wywiezą pod mogiłki albo zaś i wtedy, kiej to wojna przetratuje a chłopów wybije, że jeno po chałupach opustoszałych ostają babie lamenty, dziecińskie płacze, wyrzekania i te wzdychy, i ta żywa a silnie boląca pamięć krzywd.

Że już i nie wypowiedzieć, co się w umęczonych duszach działo!

Trzecia niedziela się kończyła, a Lipce jeszcze się nie uspokajały, naprzeciw zaś, bo ciągiem wzrastało poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, to i nie dziwota, jako o każdym świtanu, kiej przecknęli jeno ze śpiku, w każde przypołudnie i na odwieczeru każdym – w chałupach czy na dworze, gdzie się jeno naród kupił, nieustannie i lamentliwie, niby ten pacierz dziadowski, rozlegały się wyrzekania i żądza odemsty pleniła

się w sercach kiej to diabelskie, złe zielsko, że same pięści się zaciskały i krwawe, zawzięte słowa rwały się piorunami.

To juści, że Rochowe słowa, kiej ten kijaszek, jakim niebacznie rozgrzebią przytający ogień, iż płomień znowu siłą wybucha, to jedno sprawiły, co we wszystkich wszystkich pamięć krzywd wywlekły przed oczy, iż nawet mało kto poszedł na nieszpory, zbierali się jeno po opłotkach, po drogach stowarzyszali, to do karczmy szli, poredzając, płacząc a pomstując...

Jedna Hanka spokojniejszą się uczuła i tak rada z mężowej pochwały, tak nią skrzepiona na duszy i pełna nadziei, żadna roboty i pokazania, że poradzi wszystkiemu, iż nie sposób tego wypowiedzieć.

Skoro się rozeszły kobiety, wraz też przysła kowalowa posiedzieć przy chorym, Hanka zaś z Józką udały się do chlewu wieprzka oglądać.

Wypuściły go na podwórze, ale że świniuch był spasiony, to uwalił się zaraz w gnojówce i ani chciał się ruszyć.

– Nie dawaj mu już dzisiaj jeść, niech się oczyści.

– Akuratnie i zapomniałam dać mu po południu...

– To i dobrze na ten raz, trza by go jutro sprawić. Wołałaś Jagustynki?

– Przyjść obiecała jeszcze dzisiaj, na odwieczerzu...

– Odziej się i bieżyj do Jambroża, niech jutro, choćby i po mszy, a przychodzi ze statkami oporządzić wieprzka.

– Będzie to mógł, kiej dobrodziej zapowiadał, co jutro dwóch

księży przyjedzie słuchać spowiedzi?

– Czas znajdzie!... wie, że gorzałki żałować nie będę, a on jeno poradzi galanto szlachtować i mięso sprawić. Jagustynka też pomoże.

– To bym raniuśko jechała do miasta po sól i przyprawę...

– Zachciało ci się przewietrzyć!... nie potra: wszystkiego dostanie u Jankla, sama tam zaraz pójde i przyniesę.

– Józka! – krzyknęła jeszcze za nią – a gdzie to Pietrek z Witkiem?

– Pewnikiem poszli na wieś, bo Pietrek wziął skrzypice.

– Spotkasz ich, to przypędź, niechby z szopy koryto przynieśli przed chałupę, trza je będzie rankiem wyparzyć.

Józka rada, że mogła się wyrwać na wieś, pognęła do Nastki, by spólnie poszukać Jambroża.

Ale Hanka nie wybrała się do karczmy, zaraz bowiem przywłókł się jej ociec, stary Bylica, więc dała mu podjeść nieco, opowiadając radośnie, co był Rocho przywiózł od Antka, i nie skończyła wszystkiego, kiej wpadła z krzykiem Magda:

– Chodźcie prędzej, ojcu cosik jest!

Jakoż Boryna siedział na kraju łóżka rozglądając się po izbie. Hanka przypadła ku niemu trzymać, aby nie zleciał, a on wodził oczyma po niej wlepiając je naraz we drzwi, którymi właśnie kował wchodził niespodzianie.

– Hanka!

Powiedział wyraźnie i mocno, aż struchlała w sobie.

– Dyć jestem. Nie ruchajcie się ino, doktor wzbrania –

szeptwała zestrachana.

– Co tam na świecie?

Głos miał rozbity, obcy jakiś.

– Zwiesna idzie, ciepło... – jąkała.

– Wstali to?... czas w pole...

Nie wiedzieli, co rzec, spoglądając na siebie; ino Magda ryknęła płaczem.

– Swojego bronić! nie dajta się, chłopy!

Krzyczał, ale słowa mu się rwały, jął się trząść i gibać w Hanczynych ręku, że kowalowie chcieli ją wyreczyć; nie popuściła jednak, mimo że już mdlały jej ramiona i grzbiet. Patrzali w niego z trwogą czekając, co powie.

– Jęczmiona by siać pierwsze... Do mnie, chłopy!... ratunku!

... – krzyknął naraz strasznie, wyprężył się i padł w tył, oczy mu się zwarły, zarzęział.

– Umiera!... Jezus!... umiera!... – wrzeszczała Hanka targając nim z całej mocy.

A Magda wnet zapaloną gromnicę wtykała mu w bezwładną rękę.

– Księdza, prędzej, Michał!...

Ale nim kowal wyszedł, Boryna otworzył oczy puszcżając z rąk gromnicę, że się potrzaskała w kawałki.

– Już mu przeszło, szuka czegoś...

Szeptał nachylając się nad nim, ale stary odepchnął go dość silnie i zawołał zupełnie przytomnie:

– Hanka, wypraw tych ludzi.

Magda z płaczem rzuciła się do niego, ale snadź jej nie poznał.

– Nie chcę... nie potraza... wypędź... – powtarzał uporczywie.

– Choć do sieni ustąpcie, nie sprzeciwiajcie się... – błagała.

– Wyjdź, Magda, ja się z tego miejsca nie ruszę – wycedził

nieustępliwie kował miarkując, że stary chce coś tajnego Hance powiedzieć.

Dosłyszał to stary i uniósłszy się, tak groźnie spojrzął wskazując mu ręką drzwi, że się wyniósł kiej ten pies kopnięty, z przekleństwem skoczył do płaczącej na ganku Magdy, ale z nagłą przycichł, rozejrzał się i wpadł do sadu i przebrawszy się chyłkiem pod szczytowe okno przywarł pod nim nasłuchiwać, bo jak raz tam dotykały głowy łóżka, że przez szyby można było posłyszeć coś niecoś.

– Siądź przy mnie...

Rozkazał stary po jego wyjściu.

Juści, że przysiadła na brzeżku, ledwie płacz powstrzymując.

– W komorze znajdziesz nieco grosza... schowaj, by ci go nie wydarli...

– Gdzie?

Trzęsła się już ze wzruszenia.

– We zbożu...

Mówił wyraźnie, odpoczywając po każdym słowie, a ona, tłumiąc strach jakiś, cała była w jego oczach, świecących dziwnie.

– Antka broń... pół gospodarki sprzedaj, a nie daj go... nie daj... twoje...

Nie skończył już, posiniał i zwałił się na pościel, oczy mu przygasły i zasnuły się mgłą, bełkotał jeszcze cosik i jakby próbował się podnieść.

Hanka zakrzyczała ze strachu, przybiegli wnet kowalowie, cucili, wodą zlewali, ale już nie oprzytomniał i jak przódzi leżał dętwy, nieruchomy, z otwartymi oczyma, daleki od tego, co się przy nim działo.

Długi czas przesiedzieli przy nim, kobiety płakały cicho, a nikt nie rzekł i słowa; zmierzch już zapadał, izba pogrążała się w cieniach, kiej wyszli społem na dzień dogasający, że już jeno w stawie tliły się resztki zórz zachodnich.

– Co wama powiedział? – zagadnął ostro przestępując jej drogę.

– Słyszeliście.

– Ale co później mówił?

– Co i przódzi, przy was...

– Hanka, nie doprowadzajcie me do złości, bo będzie źle...

– Tyle się waszych gróźb bojam, co tego psa...

– I wtykał wam cosik w garście... – dorzucił podstępnie.

– A co, to jutro za stodołą znajdziecie... – szydziła urągliwie.

Rzucił się ku niej i może by doszło do czego gorszego, żeby nie Jagustynka, która nadeszła na ten czas i po swojemu zaraz rzekła:

– Tak se zgodliwie, po przyjacielsku poredzacie, że się po całej wsi roznosi...

Sklął ją, co wlaźło, i poniósł się na wieś.

Noc wkrótce zapadła ciemna, chmurzyska przysłoniły niebo, że ni jeden gwiazdny migot się nie przedzierał, wstawał wiatr i miewał z wolna drzewinami, iż poszukiwały głucho i smutnie: szło znowu na jakąś odmianę.

W Hanczynej izbie było jasno i dość gwarno, ogień trzaskał na kominie, wieczera się dogotowywała, kilka starszych kobiet z Jagustynką na czele pogadywały różności, Józka zaś z Nastką i z Jaśkiem Przewrotnym siedziały na ganku, bo Pietrek wyciągał na skrzypicach taką nutę żalną, aż się im na płacz zbierało; jeno Hanka nie mogła usiedzieć na miejscu, wciąż rozmyślając nad Borynowymi słowami, a co trocha zaglądając na drugą stronę...

Ale cóż?... nie sposób teraz było w komorze szukać: Jagna siedziała w izbie układając świąteczne szmaty we skrzyni.

– Pietrek, a przestań, przecież to już prawie Wielki Poniedziałek, a ten dudli a dudli, grzech!

Zgromiła, tak roztrzęsiona w sobie, że jej się płakać chciało. Juści, że przestał i wszyscy przyszli do izby.

– O tym dziedzicowym bracie, głupim Jacku, mówimy – objaśniała któraś.

Nie mogła jednak wyrozumieć, o czym mówią, gdyż psy zaczęły coś głośno szczekać w opłotkach, aż znowu wyjrzała podszczuwając jeszcze. Łapa rzucił się zajadle w sad...

– Huzia go, Łapa!... Weź go, Burek!... Huzia!...

Ale psy zmilkły nagle i powróciwszy skamlały radośnie.

I niejednym raz tego wieczoru było tak samo, że wstało w niej jakieś strachliwe podejrzenie.

– Pietrek, a zawrzyj wszystko na moc, bo musi być, ktosik to penetruje, a swój, że psy nie chcą docierać.

Rozeszli się wnet wszyscy i wkrótce śpik ogarnął cały dom, jeno Hanka poszła jeszcze sprawdzić, czy drzwi pozawierane, a potem długo stała pod ścianą trwoźnie nasłuchując...

– We zbożu... to juści w którejś z beczek... By ino me kto nie ubiegł!...

Zimny pot strachu ją oblał i serce gwałtownie zakołatało.

Prawie że nie spała tej nocy.

### III

Józia, rozpal na kominie i co jest garnków, zbierz, nalej wodą i przystaw do ognia, ja polecę do Żyda po przyprawę.

– A śpieszcie, bo Jambroża ino patrzeć.

– Nie bój się, równo z dniem nie przykuszyka, kościół musi pierwej obrządzić.

– Hale, przedzwoni i wnet się zjawi, bo Rocho mają go zastąpić.

– Zdażę jeszcze, a krzyknij no na chłopaków, by rychlej wyskrobali koryto i przywlekli je na ganek. Jagustynka przyjdzie, to niechby pomyła cebrzyki, beczki też trza wynieść z komory i zatoczyć do stawu, niech odmiękną; jeno nie zabacz kamieni nakłaść, by ich woda nie wzięła. Dzieci nie budź, niech se śpią robaki, przestroniej będzie... – nakazywała ostro Hanka i przyokrywszy się zapaską na głowę, wysunęła się spieszenie na wczesny i galanto rozkisły poranek.

Dzień co się był dopiero stał, chmurny, mokry i przykrym ziąbem przejęty; siwe mgły dymiły z przemięklej ziemi opadając drobnym i zimnym dżdzem, oślizgłe drogi siwiły się opite wodą, a poczerńiałe chałupy ledwie co były widne w szarudze, a przemiękle drzewiny, skurczone, jawiły się kajś niekaj dygotliwym cieniem, kieby z tych skłaczonych, szklistych mgieł uczynione, i naglądały w staw ledwie siniejący, że jeno spod skołtunionych przysłon grażył się drżący, cichy bulgot kropel

bijących nieustannie w wodę, a wszędy szła plucha, że świata Bożego ledwie dojrzał, i pusto było jeszcze.

Dopiero kiej sygnaturka jeła pojękiwająco przedzwaniać, zaczerwieniły się gdzieniegdzie przyodziewy kobiet, przebierających się suchszymi miejscami do kościoła.

Hanka przyśpieszała, rachując, że może się z Jambrożym spotka już na skřęcie przed kościołem, ale nie wyszedł jeszcze, jeno jak co dnia o tej porze kręcił się przed stawem ślepy koń księdzowy ciągnąc na płozach beczkę, przystawał wciąż i utykał na wybojach, jeno węchem zmierzając ku wodzie, bo parob był właśnie przykucnął od pluchy w opłotkach i kurzył papierosa.

I wraz też przed plebanię zajeżdżała bryczka w spaśne kasztanki, z której wysiadał tłusty i czerwony ksiądz z Łaznowa.

– Spowiedzi słucał będzie, a to i dobrodzieja ze Słupi jeno co patrzeć.

Pomyślała obzierając się na próżno za Jambrożym, że wnet ruszyła pobok kościoła, drogą barzej jeszcze błotną, bo obsadzoną rzędami wielgachnych topoli, ale tak potopionych w szarudze, że jakby za szybą zapoconą majaczyły ruchającymi się cieniami; minęła karczmę i wzięła się na prawo roztapianą, polną dróżką.

Miarkowała, iż zdąży jeszcze odwiedzić ojca i z siostrą pogwarzy, z którą się już była całkiem pojednała od czasu przeprowadzki do Boryny.

Siedzieli wszyscy w chałupie.

– Bo to Józka pytlowała wczoraj, że ociec słabują – zaczęła

wstępnie.

– I... by nie pomagał, to się wyleguje pod kożuchem i stęka, i chorobą się wymawia – odparła chmurnie Weronka.

– Ziąb tu u ciebie, że jaże po łystach liże.

Wzdrygnęła się, bo jakoż chałupa przeciekała kiej przetak i maziste błocko pokrywało podłogę.

– A bo to jest czym palić! Któż to przyniesie suszu? Mam to siły bieżyć do lasu tyli świat i dygować na plecach, kiej tyle inszej roboty, że nie wiada, za co pierwej ręce zaczepić! Uradzę to sama wszystkiemu! Westchnęły obie na swoje sieroctwo i opuszczenie.

– Kiej Stacho był, to się zdało, że nic w chałupie nie stoi, a skoro go brakło, to widno dopiero, co chłop znaczy. Nie jedziesz do miasta?

– Juści, że chciałabym najprędzej, ale Rocho się dowiedział, co dopiero we święta będą do nich puszczali, to w niedzielę się zbierę i powiezę chudziakowi niecoś święconego.

– Poniesłabym i ja mojemu niejedno, ale cóż mogę? tę skibkę chleba?

– Nie frasuj się, narządę więcej, by la obu starczyło, i razem powieziemy.

– Bóg ci zapłać za dobrość, w porę to choćby odrobkiem odplacę.

– Ze szczerzego serca dawam, nie za odrobek. Kumałam ci się niezgorzej z biedą i wiem, jak ta suka gryzie, pamiętam... – szepnęła żałośnie.

– Człowiek całe życie przyjacielstwo z nią trzyma, że chyba

do grobu przed nią uciecze. Miałam nieco zapasnego grosza; myślałam: na zwiesnę kupię jakiego prosiaka, podkarmię i na kopania przyrosłoby kilka złotych. Stachowim dać musiała kilkanaście złotych, tu grosz, tam dwa, i kiej ta woda wyciekło wszystko, a nowego się nie złoży. Tyleśmy się dorobili, że z gromadą trzymał!...

– Nie powiadaj bele czego, po dobrej woli poszedł z drugimi swojego się dobijać, i wy tam jaką morgę lasu mieć będziecie...

– Będzie!... nim słońce wzejdzie, oczy rosa wyje: któren pieniądz ma, temu duda gra, a ty, biedaku, handluj głodem i ciesz się, że jeść kiedyś będziesz!...

– Braknie ci to czego? – spytała nieśmiało.

– A cóż to mam? Tyle co Żyd albo młynarz na borg dadzą! – zawołała rozwodząc ręce z rozpaczą.

– Nie poredzę ci, żebym i z duszy chciała: nie na swoim jestem i sama oganiać się muszę kiej od psów i pilnować, by mnie nie wyciepnęli z chałupy... że już nieraz i rozum odchodzi z turbacji!

Wspomniała się jej noc dzisiejsza.

– Za to Jagusię o nic głowa nie zaboli: nie taka głupia, używa se do woli...

– Jakże?

Podniosła się niespokojnymi oczyma ogarniając siostrę.

– Nic wielkiego, jeno to, że się nażyje dobrego po grdykę; stroi się, po kumach spaceruje i święto se robi co dnia. Wczoraj na ten przykład widzieli ją z wójtem w karczmie, w alkierzu siedzieli, a Żyd ledwie nadażył donosić półkwatki... Nie taka

głupia, bych starego żałowała... – dorzuciła przekąśliwie.

– Wszystko swój koniec ma! – szepnęła ponuro Hanka naciągając zapaskę na głowę.

– Ale co się naużywa, tego jej nikt nie odbierze, mądra jucha...

– Łacno o rozum temu, któren się na nic nie ogląda! Hale, wieprzka dzisiaj szlachtujemy, zajrzyj na odwieczerzu, pomożesz... – przerwała te gorzkie wywody Hanka i wyszła.

Zajrzała do ojca na drugą stronę, do dawnej swojej izby, stary ledwie był widny w barłogu, jeno postękiwał z cicha.

– Ociec, co to wama jest?

Przykucnęła przy nim.

– Nic, córuchno, nic, tyle że me frybra trzęsie i w dołku okrutnie ściska...

– A bo tu ziąb i wilgoć kiej na dworze. Wstańcie i przyjdźcie do nas, dzieci przypilnujcie, bo wieprzka bijemy. Jeść się wama nie chce?

– Jeść!... juści ździebko... bo to zapomniały mi wczoraj dać... jakże... i sami jeno ziemniaki ze solą... a to Stacho w kryminale... Przyjdę, Hanuś, przyjdę... – pojękiwał radośnie gramoląc się z barłogu.

Hanka zaś, pełna myśleń o Jagnie, które ją bodły kiej te noże ostre, poleciała śpiesznie do karczmy czynić zakupy.

Juści, że już teraz Żyd nie żądał z góry pieniędzy, a jeno skwapliwie odważał i odmierzał, czego zechciała, jeszczech podsuwając pod oczy coraz to nowe la zachęty.

– Niech Jankiel daje, co mówię!... nie dzieckom, wiem, po co przyszedłam i czego mi potrza! – zgromiła go wyniośle, nie wdając się w rozmowę.

Żyd się jeno uśmiechał, bo i tak nabrała za kilkanaście złotych, jako że gorzałki wzięła więcej, aby już i na święta starczyło, a przy tym chleba pytlowego, parę rządków bułek, śledzi coś z mendel, a nawet w końcu dobrała małą buteleczkę araku, że ledwie mogła udźwignąć toból.

– Jagna może używać, a ja to pies? haruję przeciek kiej wół!

Myślała tak wracając do domu, ale żal się jej zrobiło wydatku zbędnego, iż gdyby nie wstyd, byłaby arak odniosła Żydowi.

W chałupie już zastała niemały rwetes przygotowań. Jambroży nagrzewał się przed kominem wiodąc swoim zwyczajem przekpinki z Jagustynką, tęgo zajęta wyparzaniem statków, aż para zapełniła całą izbę.

– Czekałem na was, bych przedzwonić pałą po łbie świntuchowi!

– Żeście to pośpieszyli tak rychło!

– Rocho me zastępuje w zakrystii, Wałek księży zakalikuje organiście, a Magda kościół podmiecie. Narychtowałem wszystko, by ino wama zawodu nie zrobić! Księża dopiero po śniadaniu wezmą się do spowiedzi. Ale też ziąb dzisiaj, jaże kości truchleją! – wykrzyknął żałośnie.

– Zęby w ogniu suszą i na ziąb narzekają! – zdziwiła się Józka.

– Głupia, na wnątrzu zimno, jaże mi ten drewniany kulas stergnął.

– Zaraz naszykuję wama rozgrzywkę, Józia, namocz duchem śledzie.

– Dajcie, jakie są, jeno sporo gorzałką zalać, to galanto sól wyciągnie.

– A wy zawdy po swojemu, bych o północku w kieliszki zadzwonili, wstaniecie radzi na pijatykę – zauważyła złośliwie Jagustynka.

– Prawda wasza, babciu, ale widzi mi się, że wama cosik ozór skiełczał i radzi byście go też w gorzałce pomoczyć, co? – śmiał się zacierając ręce.

– Jeszczech byś me, stary zbuku, nie przepił.

– Ludzi coś mało ciągnie do kościoła – przerwała im Hanka, wielce nierada tym przymówkom do gorzałki.

– Bo wczas, jeszcze się zlecą, w dyrdy bieżyć będą wytrząchać grzechy.

– I polenić się, co nowego posłyszeć i świeżych grzechów nabrać...

– Od wczoraj już się dziewczuchy szykowały – pisnęła skądciś Józia.

– Juści, bo im przed swoim dobrodziejem wstyd – dogadywała stara.

– Babciu, wam byłby już czas sięść na pokutę w kruchcie i te paciorki prząść, a nie ogadywać drugich!

– Poczekam, byś siadł w podle, kuternogo!

– Mam czas, pierwej waju pięknie przedzwonię i łopata oklepię...

– Nie tykajcie me, bom zła! – warknęła cicho.

– Kijaszkiem się zastawię i nie ugryziecie, a ząbków szkoda, ile że ostatnie...

Jagustynka cisnęła się ze złością, ale nie odrzekła, bo i właśnie Hanka nalewała kieliszek przepijając do nich, a Józka podała śledzia, którego otrząsał o drewno nogi, ze skóry obłupił, na wąglikach przypiekł i ze smakiem zjadł.

– Dosyć zabawy! do roboty, ludzie! – zawołał naraz, zrzucając kozuch, zakasał rękawy, poostrzył jeszcze na osełce noża, wziął z kąta tęgą pałę od rozcierania ziemniaków la świń i ruszył żwawo na dwór.

Wszyscy też poszli za nim w podwórze, on zaś z Pietrkiem wywodził z chlewu opierającego się silnie wieprzka.

– Nieckę na krew, a prędko! – krzyknął.

Przynieśli wnet, wieprzek czochał się o węgiel i pokwikiwał z cicha...

Stali kołem w milczeniu patrząc w jego białe boki i tłusty, obwisły brzuch, a moknąc galanto, bo deszcz mżył coraz gęstszy i mgły zwały się na sad. Łapa jeno naszczekiwał obiegając dokoła. Jakieś kobiety przystawały w opłotkach i kilkoro dzieci wieszalo się na płotach, ciekawie naglądając.

Jambroż się przeżegnał, pałę nieco wziął za się i jął zachodzić wieprzkowi z boku. Naraz przystanął, rękę odwiódł, przechylił się bokiem tak mocno, jaże mu guzik pod szyją puścił u koszuli, naprężył się i kiej nie huknie w wieprzkowy łeb między uszy, aż świntuch z kwikiem padł na przednie nogi, a potem kiej mu

nie poprawi już obu rękoma, że zwałił się na bok wierzgając kulasami, wtedy mu w mig przysiadł na brzuchu, nożem błysnął i aż po osadę wbił w serce.

Podstawili niecki, krew chlusnęła kiej z sikawki, aż na ścianę chlewa, i jeła z bulgotem spływać parując niby wrzątek.

– Pódzi, Łapa! widzisz go, juchy mu się chce, post przeciek!  
– ozwał się wreszcie odganiając psa i dysząc ciężko. Zmęczył się był nieco.

– W ganku oparzycie?

– Do izby wniesę koryto, przecież trza go uwiesić do rozbierania.

– W izbie ciasno, myślałam.

– Macie drugą stronę, ojcową, tam dużo miejsca, staremu to nie przeszkodzi... ino prędzej, bo nim ostygnie, łacniej mu szerść puści! – rozkazywał obdzierając mu tymczasem ze grzbietu szczecinę co dłuższą.

A w parę pacierzy wieprzek już oparzony, obrany ze szczeciny, wymyty, wisiał w Borynowej izbie, rozpięty na orczyku przywiązanym do belki.

Jagny nie było, poszła zaraz z rana do kościoła, ani się spodziewając, co ma nastąpić; jeno stary jak zwykle na łóżku leżał, wpatrzony gdziesik nieprzytomnymi oczyma.

Zrazu sprawiali się cicho, często obzierając się na chorego, ale że się nie poruchiwał nawet, zabaczyli wnet o nim, mocno zajęci wieprzkiem, któren nie zawiódł przewidywań, bo słoninę na grzbiecie miał grubą dobrze na sześć palców i sielne sadło.

– Zaśpiewaliśmy mu, przewieźliśmy, czas go już gorzałką skropić!

– wołał Jambroży myjąc ręce nad korytem.

– Chodźcie na śniadanie, znajdzie się czym przepić.

Juści, że nim się zabrał do ziemniaków z barszczem, wypił z niezgorszą przylewką, ale przy jadle siedział krótko, wnet się zabierając do roboty i wszystkich poganiając, zwłaszcza Jagustynkę, z którą pospólnie robił, że to zarówno się znała na soleniu i przyprawie mięsa.

Hanka też pomagała, co ino mogła, Józka zaś rada czepiała się bele czego, by ino przy wieprzku ostawać i w chałupie.

– Pomagaj gnój nakładać, niech prędko wywożą, bo widzi mi się, że dzisiaj nie skończą próżniaki! – krzyczała na nią.

Z żalem juści niemałym leciała w podwórze, całą złość wywierając na chłopaków, że ciągiem słychać było jej jazgoty – bo i jakże!... wyganiała ją, kiej w chałupie czyniło się coraz gwarniej, bo co trocha wpadała jaka kuma zamawiając się bele czym, po sąsiedzku, a ujrzawszy wiszącego wieprzka rozwodziła ręce i dalejże w głos wydziwiać, że taki wielgachny, taki spaśny, jakiego nie miał i młynarz albo organista.

Hanka była tym wielce rozradowana, puszyła się sielnie, że szlachtuje świniaka, i choć było jej nieco żal gorzałki, trudno, skoro musiała, jak to było we zwyczaju u gospodarzy przy takim święcie, częstowała, chleb z solą podając na przegryzkę i rada słuchając tych słówek przypochebnych, i ugwarzając się niemało, bo to ledwie jedna za próg, już drugie w sieniach trepy z błota obijały, wstępując niby po drodze do kościoła i na te

krótkie Zdrowaś – że kiej na odpust waliły, a dzieci się też sporo płażało po kątach i do okien zaglądać, aż je nieraz Józka musiała rozganiać.

Bo to i we wsi czynił się ruch nadspodziewanie, coraz więcej ludzi człapało po drogach, to wozy z drugich wsi raz po raz turkotały, że nad stawem kieby w procesji wciąż się czerwieniły babskie przyodziewy, naród bowiem ciągnął do spowiedzi, nie bacząc na złe drogi ni na dzień płaksiwy, przykry a tak zmienny, iż co kilka pacierzów padał deszcz, to ciepły wiatер przewalał się po sadach albo zaś nawet sypały śnieżne krupy grube kiej pęczak, a przyszedł i taki czas, że słońce przedarło się z chmur i kieby złotem posuło świat – jak to zresztą zwyczajnie bywa na pierwszą zwiesnę, kiej czas podobien się czyni w matyjaśności do dziewczki poniektórej, której to posobnie i śmiech, i płacz, i wesele, i żałości biją do głowy, a sama nie miarkuje, co się z nią wyprawia.

Juści, że ta u Hanka nikto na pogodę nie baczył i robota a pogwary szły, jaże się rozlegało. Jambroży się zwijał, poganiał drugich, przekpinki wedle zwyczaju wiódł, ale że musiał co parę pacierzy do kościoła zaglądać, czy tam wszystko sprawnie idzie, to na ziań narzekał i o rozgrzewkę wołał:

– Pousadzałem dobrodziejów, narodem ich obwaliłem, że do połędnia się nie ruszą.

– Hale, łaznowski proboszcz długo nie strzyma, powiadali, że mu gospodyni ciągiem porcenełę podawać musi!

– Babciu, pilnujcie nosa, poniechajcie księży!

Nie lubił tego.

– A o tym że Słupi też powiadają, że zawdy przy spowiedzi flaszuchnę z pachnącym w garści trzyma i nos se przytyka, bo mu ano naród śmierdzi, że po każdym wypowiedzianym złe powietrze chustką rozgania i wykadza...

– Zawrzyjcie gębę: wara wam od księży! – wybuchnął zeźlony.

– Rocho są w kościele? – podjęła spieszenie Hanka, również wielce nierada pyskowaniom Jagustynki.

– Siedzą od samego rana, do mszy służył i co potrza, obrządza.

– A kajże to Michał?

– Poszedł z organiściakiem do Rzepek, po spisie.

– Gęsią orze, piaskiem sieje i niezgorzej im się dzieje! – westchnął Jambroży.

– Jeszcze by, już najmniej jak za każdą duszę zapisaną jajko dostają...

– A za kartki do spowiedzi osobno przeciek bierze po trzy grosze z duszy. Co dnia widzę, jakie torby dygują z różnościami. Samych jajów sprzedała organiscina w zeszłym tygodniu coś dwadzieścia i dwie kopy – rzekła Jagustynka.

– Kiej nastał, to pono piechty przyszedł z jednym węzełkiem, a teraz by go i we cztery dworskie wozy nie wywiózł.

– Organista z górą dwadzieścia років w Lipcach siedzi, parafia duża, pracuje, zabiega, grosza szcędzi, to się i dorobił – tłumaczył Jambroży.

– Dorobił się! Drze z narodu, jak ino może, a nim co komu

zrobi dobrze, w garście cudze patrzy, po trzydzieści złotych od pochowku bierze za to, co ta pobeczy po łacińsku i na organach poprzebiera.

– Zawdy uczony jest we swoim i nieraz dobrze musi się nagłować!

– Juści, że nauczny, kaj cieni beknać, a kaj grubiej i jak wycyganiać.

– Jenszy by przepił, a ten syna na księdza kieruje.

– To i honor będzie miał niemały, i profit! – dogadywała stara zajadle.

Przerwali w najlepszym miejscu, gdyż Jaguś wpadła stając naraz w progu kiej wryta.

– Dziwujesz się wierzpkowi? – zaśmiała się Jagustynka.

– Nie mogliście to po swojej stronie szlachtować! Izbę mi całkiem zapaskudzą – wykrztusiła, w pasach cała stając.

– Masz czas, to se wymyjesz! – odrzekła zimno, z naciskiem Hanka.

Jaguś cisnęła się naprzód kieby do kłótni, ale dała spokój, zakręciła się jeno po izbie, wzięła różańce z Pasyjki, a przyokrywszy rozbabrane łóżko jakąś chuścina wyszła bez słowa, choć wargi trzęsły się jej ze złości utajonej.

– Pomoglibyście, tyle roboty! – powiedziała jej w sieniach Józka.

Wywarła na nią gębę w takiej złości, że nawet słów nie można było rozeznąć, i poleciała jak wściekła. Witek za nią wyjrzał i mówił, jako prościutko do kowala się poniesła.

– A niech se idzie, poskarży się ździebko, to jej ulży!

– Wojować wama znowuj przyjdzie! – zauważyła ciszej Jagustynka.

– Moiście, dyć jeno wojną żyję! – odparła spokojnie, choć trwożna była, boć rozumiała, że musi tu lada chwila przylecieć kowal i bez srogiej kłótni się nie obędzie.

– Ino ich patrzeć! – szepnęła ze współczuciem Jagustynka.

– Nie bójcie się, wytrzymam, nie ustraszą me – ozwała się z uśmiechem.

Jagustynka aż głową pokiwała z podziwu nad nią spoglądając porozumiewawczo na Jambroża, którego właśnie składał robotę.

– Zajrzę do kościoła, południe przedzwonię i zaraz na obiad wrócę! – rzekł.

Jakoż wrócił rychło opowiadając, że już księża przy stole siedzą, że młynarz przysłał ryb cały więcierz i że po obiedzie będą jeszcze spowiadali, gdyż siła narodu czeka.

Po prędkim i krótkim obiedzie, jeno tego zakropionym, bo Jambroż wyrzekał żałośliwie, jako gorzałka za słaba do tak przesłoniałych śledzi, wzięli się znowu do roboty.

Właśnie był Jambroży ćwiertował wieprza i obrzywał mięsiwo na kiełbasy, a Jagustynka, rozłożywszy połcie na stole, uczynionym ze drzwi, narzyniała słoninę, troskliwie ją przesalając, gdy wleciał kowal.

Widno mu było z twarzy, że ledwie się hamował.

– Nie wiedziałem, żeście aż tylego wieprzka sobie kupili! – zaczął z przekąsem.

– A kupiłam i szlachtuję, widzicie!

Strach ją ździebko przejął.

– Sielny wieprzak, daliście ze trzydzieści rubli...

Oglądał go pilnie.

– A słoninę to ma grubą, że szukać! – zaśmiała się stara podsuwając mu pod oczy poćć.

– I... niecałe trzydzieści dałam, niecałe! – odpowiedziała z prześmiechem Hanka.

– Borynowy wieprzek! – wybuchnął naraz nie mogąc już powstrzymać złości.

– Jaki to zmyślny, nawet po ogonie rozpozna czyj! – szydziła stara.

– Niby jakim prawem żeście zarznęli! – zakrzyczał wzburzony.

– Nie wykrzykujcie, bo tu nie karczma, a takim prawem, że Antek przez Rocha przykazał go zarznąć.

– Cóż tu Antek ma do rządzenia? jego to?

– A juści, że jego!

Skrzepła już w sobie, nabrała mocy do walki.

– Do wszystkich należy!... drogo wy za niego zapłacicie!

– Nie przed tobą będziem zdawać sprawę!

– Ino przed kim? Do sądu pójdzie skarga.

– Cichocie, przywrzycie pysk, bo chory tu ano leży, a jego to wszyćko...

– Ale wy będziecie jedli.

– Pewnie, że wama nie dam i powąchać.

– Pół świni dacie i piekła wam robić nie będę – szepnęła łagodniej.

– I jednego kulasa przez mus nie dostaniecie.

– To po dobroci dacie tę oto ćwierć i poleć słoniny.

– Antek każe wam dać, to dam, ale bez jego przykazu ni kosteczki.

– Wściekła się baba!... Antków to wieprzak czy co? – złość go znów ponosiła.

– Ojcowy, to jakby było Antkowy, bo skoro ociec chorzy, to on tu rządzi za niego i jego głową wszystko stoi. A potem będzie, jak Pan Jezus da...

– W kreminalu niech se rządzi, jak mu pozwolą... Smakuje mu gospodarka, powloką go w kajdanach na Sybir i tam se będzie gospodarzył! – wykrzyknął spieniony.

– Wara ci od niego!... może i powleką... jeno że i tak nie ogryziesz tych zagonów, byś latego i gorszym jeszcze judaszem stał się la narodu! – mówiła groźnie, roztrzęsiona nagłym strachem o męża.

Kowalowi aż kulasy zadygotały i ręce jęły drżeć i trzepać się po odzieniu, taką chęć poczuł za gardziel ją chycić, powlec po izbie i skopać, ale się jeszcze zdzierzył, ludzie byli – jeno ciskał w nią rozsrożonymi ślepiami, słowa nie mogąc wykrztusić. Ale ona się nie ulękła, biorąc nóż do krajania mięsa i bystro a urągliwie patrząc w niego, aż przysiadł na skrzyni, papierosa skręcał i czerwonymi ślepiami izbę oblatywał rozważając cosik w sobie i kalkulując, bo wstał rychło i rzekł dobrotliwie:

– Chodźcie no na drugą stronę, rzeknę coś waju na zgodę.

Otarłszy ręce poszła, pozostawiając wywarte na oścież drzwi.

– Nie chcę się z wami prawować ni kłócić – zaczął zapalając papierosa.

– Bo nic ze mną nie zwojujecie!

Uspokoila się znowu.

– Mówił co jeszcze ociec wczoraj?

Łagodny już był, uśmiechał się do niej.

– Ni... leżał cicho, jako i dzisiaj leży...

Podejrzliwa czujność w niej wstała.

– Wieprzak fraszki małe ptaszki, zarzynajcie go sobie i zjedzcie, wasza wola... nie moja strata. Człowiek nieraz plecie, czego potem żałuje. Nie pamiętajcie, com rzekł! O ważniejszą sprawę idzie... Wiecie, powiadają we wsi, jako ociec mają mieć sporo gotowego grosza gdziesik w chałupie schowanego... – Przerwał wwiercając się oczyma w jej twarz. – Opłaciłoby się poszukać, broń Boże śmierci, to jeszcze się kaj zapodzieją albo kto obcy złapie.

– A powie to, kaj schował!

Głęboką nieprzenikliwość miała w oczach.

– Wam by wyśpiewał, byście go ino mądrze za język pociągnęli.

– Niech ino mu rozum przyjdzie, popróbuję wypytać...

– Byście mądrą byli i język za zębami trzymali, to o tym, gdyby się pieniądze znalazły, mozem ino na spółkę wiedzieć. Znalazłby się większy grosz, to by było łącniej i Antka wykupić

z kreminału... a po co drugie wiedzieć mają?... Jagna ma dosyć zapisu... i można by też na proces mieć, by jej te morgi wyprawować... A Grzeli mało to posyłali do wojska! – szeptał nachylając się do niej.

– Prawdę mówicie... juści... – jąkała strzegąc się, by z czym się nie wyrwać.

– Rachuję, że musiał kaj w chałupie schować... jak uważacie?

– Wiem to, kiej mi o tym ni słówkiem nie zatrącił?...

– O zbożu wam cosik wczoraj prawił... nie baczycie to? – podsuwał.

– Juści, że o siewach wspominał.

– I o beczkach cosik powiadał – przypominał nie spuszczając z niej oczu.

– Jakże! boć w beczkach stoi zboże do siewu! – zawołała, niby nie rozumiejąc.

Zaklął z cicha, ale się teraz utwierdzał coraz bardziej, że ona coś wie; wyczytał to z jej twarzy zamkniętej i z oczu zbyt przyczajonych i trwożnych.

– A com waju zawierzył, nie rozprowadzajcie...

– Pleciuch to jestem, któremu pilno z nowinkami po kumach?

...

– Dyc przestrzegam ino... Ale pilnujcie dobrze, bo skoro już raz staremu zaświtało we łbie, to może mu się leda pacierz całkiem rozwidnić...

– No... niechby przyszło do tego co rychlej!...

Obrzucił ją lepkiemi ślepiami raz i drugi, poskubał wąsów

i wyszedł, odprowadzany jej oczyma, pełnymi przytającej szydliwości.

– Judasz, ścierwo, zbój!

Buchnęła nienawiścią, postępując za nim parę kroków; boć to nie po raz pierwszy ciska jej w oczy groźby i strachania, że Antka na Sybir pošłą i do taczek przykują.

Juści, że nie całkiem wierzyła rozumiejąc, iż głównie przez złość pyskuje, aby ją przetrwożyć i bez to łacniej z chałupy wygryźć.

Ale mimo tego żarła ją trwoga o niego niemała. Przewidywała się też nieraz i kaj jeno mogła, co go może za kara spotkać, miarkując ze smutkiem, iż całkiem na sucho ująć mu nie ujdzie.

– Po prawdzie, że ojca rodzzonego bronił, ale borowego zakatrupił, to juści pokarać go muszą, jakże...

Mówili co rozważniejsi, że się nijakiej prawdy dobić nie mogła, bo kuźden inszą wywodził. Adwokat w mieście, do którego ją ksiądz z listem pošłą, powiedział, jako może być różnie, i całkiem źle, i niezgorzej, trza jeno pieniędzy na sprawę nie skąpić i cierpliwie czekać. We wsi zaś najbarzej ją trwożyli, że to kowal podmawiał swoje wymysły i wszystkich podrychtowywał.

Nie dziwota też, że i teraz jego słowa kamieniami padły na duszę. Nogi pod nią truchłały przy robocie, mówić nie mogła, tak ją strach zatykał, a do tego zaś i Magda po jego odejściu przyleciała i siadła przy chorym oganiając go niby od much,

których nie było, a śledząc wszystko baczynymi ślepiami.

Ale snadź jej to wrychle obmierzło, gdyż się w robocie pomagać ofiarowywała.

– Nie trudź się, uredzim sami, mało się to w chałupie naharujesz!

Odradzała Hanka takim głosem, że Magda dała spokój, pogadywała jeno niekiedy a lękliwie, że to już z samego przyrodzenia nieśmiała była i milcząca.

A jakoś na samym odwieczerzu zjawiała się znowu Jaguś, ale wespół z matką.

Witały się, kieby w najlepszej zgodzie żyły, i tak przyjacielsko a przychlibnie, aż to Hankę tknęło, i chociaż odpłacała im tym samym, nie żałując dobrych słów ni nawet gorzałki, miała się jednak na baczności. Ale Dominikowa odsunęła kieliszek.

– Wielki Tydzień! Gdzieżbym to gorzałkę piła!

– Nie w karczmie i przy okazji, toć nie grzech! – usprawiedliwiała Hanka.

– Człowiek chętnie se folguje i rad zawsze sposobnością wymawia...

– Przepijcie, gospodyni, do mnie, ja to nie organista! – wykrzyknął Jambroz.

– Niech ino szkło brzęknie, to was zarno grzysi ponoszą – mruknęła Dominikowa zabierając się do opatrzenia głowy chorego.

– Cie... komu sygnaturka sprawia, że bije się pięścią pokutnie, a drugiemu zaś flaszkowy pobrzęk to czyni, że w podle za

kieliszkiem maca...

– Leży se ten chudziaczek, leży i o Bożym świecie nie wie! – zawołała żałośnie nad Boryną.

– I jadł kiełbasy nie będzie, i gorzałki nie posmakuje! – ciągnęła tym samym sposobem, a wielce szydliwie Jagustynka.

– Wama ino prześmiechy na pamięci! – zestrofowała ją gniewnie.

– A cóż to? płakaniem biedy se odejmę? Tyla mojego, co się pośmieję.

– Kto sieje zło, niech se smutki zbiera i pokutę odprawuje!...

– Nie darmo powiedają, że Jambroż, choć przy kościele służy, a gotów się by i z grzychem pokumać, bych jeno sobie pofolgować i użyć! – rzekła wyniośle Dominikowa obrzucając go srogimi oczyma.

– Przeciwić się dobremu i ze złym kumać potrafi, któren jeno nie baczy, jaką potem weźmie zapłatę – dodała ciszej, jakby grożąc.

Milczenie padło na izbę. Jambroż zakręcił się gniewnie, ale zdzierzał w sobie ostrą odpowiedź, boć wiedział, że i tak każde jego słowo znał będzie dobrodziej najpóźniej jutro po mszy; nie darmo Dominikowa przesiadywała ciągiem w kościele... A i reszta zwarzyła się też pod jej sowimi ślepiami, nawet nieustępliwa Jagustynka przymilkła trwożnie.

Jakże, cała wieś się jej bojała; już pono niejednen poczuł na sobie moc jej złych ślepiów, niejednego już pokrećiło albo rozchorzał, gdy nań urok rzuciła.

Pracowali w cichości z pochyłonymi trwoźnie twarzami, że jeno jej biała gęba, sucha i poradlona, kieby z blichowanego wosku, nosiła się po izbie. Nie odzywała się również zabierając się z Jagną do pomagania tak ostro, że Hanka wzbronić nie śmiała.

Że zaś Jambroża odwołał księży parobek do kościoła, ostały jeno same, pilnie układając mięso i półcie w cebrzyki a beczkę.

– Po tej stronie w komorze będzie chłodniej la mięsa, mniej się w izbie pali... – zarządziła stara, wraz zataczając statki z Jagusią.

Tak się to prędko stało, że nim się Hanka mogła sprzeciwić, nim pomiarkowała, już one powtaczały do komory, więc srodze rozeźlona zaczęła śpiesznie przynosić na swoją stronę, co ino pozostało, przywołując Józkę i Pietrka do pomocy.

O samym zmierzchu, gdy już zapalili światło, zabrali się pośpiesznie do robienia kiełbas, kiszek i onych grubaśnych salcesonów. Hanka siekała mięso z jakąś ponurą wściekłością, tak była jeszcze wzburzona.

– Nie zostawię w tamtej komorze, żeby zechłała albo wyniesła! Niedoczekanie twoje! To ci fortelnica! – szepnęła wreszcie przez zęby.

– Rano, po cichuśku, jak pójdzie do kościoła, przenieść wszystko do swojej komory i będzie po krzyku! Nie odbije wam przeciech! – radziła Jagustynka szprycując mięso w długachne flaki, że się skręcały po stole, kiej te węże czerwone a tłuste, i co trochu rozwieszała je na żerdce nad kominem.

– Niech spróbuje! Zmówiły się i z tym przyleciały!

Nie mogła się uspokoić.

– Nim Jambroż wróci, kiełbasy będą gotowe... – zagadywała stara.

Ale Hanka zmilknęła, zajęta pracą, a głównie rozmyślaniami, jak by odebrać półcie owe i szynki.

Ogień trzaskał na kominie i tak się galanto buzowało, że w całej izbie było czerwono, w garach parkotały gotujące się różności, z których czyniono kiszki, a dzieci cosik trwożnie gaworzyły nad nieckami z krwią.

– Laboga, jaże me mdli od tych smaków! – westchnął Witek pociągając nosem.

– Nie wywąchuj, bo możesz co oberwać! Krowy ano pój, siano zakładaj i sieczkę na noc zasypuj... Późno już! Kiedy to obrzędzisz?...

– Pietrek zaraz przyjdzie, sam przeciek nie uredzę...

– A kajże to poszedł?

– Nie wiecie?... pomaga sprzątać na drugiej stronie!...

– Co? Pietrek! ruszaj bydlę obrzędzać!

Krzyknęła naraz Hanka w sień z taką mocą, że Pietrek w ten mig poleciał w podwórze.

– A przyłóż kulasów i sama se izbę wyporządź!... widzisz ją!... dziedziczka jakaś, rączków se szczędzi, parobkiem się wyręcza! – wołała rozżłoszczona do ostatka wywalając jednocześnie na stół z garnka dymiącą się wątrobę i dutki, gdy jakiś wóz zaturkotał i dzwonek zajęczał na dworze.

– A to ksiądz z Panem Jezusem jedzie do kogoś!... – objaśniał

Bylica akuratnie wchodząc do izby.

– Któż by zachorzał? nie słychać było!...

– Za wójtową chałupę pojechali! – krzyknął przez okno zadyszany Witek.

– Ani chybi do któregoś z komorników...

– A może do waszych, do Pryczków, tam ano siedzą...

– Hale! zdrowe były, takim ścierwom nic się złego nie stanie

– szepnęła Jagustynka, ale chociaż w niezgodzie żyła z dziećmi, a w ciągłych procesach, zadrzała.

– Przewiem się nieco i zaraz przyletę...

Wybiegła śpiesznie.

Ale kawał wieczoru się przewlekło i Jambroży zdążył z nawrotem, a ona nie powróciła; właśnie był stary powiadał, iż księdza wzywali do Agaty, Kłębowej krewniaczki, co to w sobotę z żebrów przyciągnęła.

– Jakże? nie u Kłębów to siedzi?

– U Kozłów czy ta u Pryczków pono się przytuliła na skonanie.

Tyle jeno o tym przerzekli, zajęci wielce robotą, jeszcze i bez to opóźnianą, że Józka, a to i sama Hanka ciągiem odbiegały roboty, by lecieć w podwórze do wieczornych obrządków.

Wieczór się ciągnął z wolna i przykrzył się wielce a dłużył, że to i ciemnica zwała się na świat, iż pięści nie dojrzał, deszcz zacinał ziębiący, wiatер ciepał się raz po raz o ściany i tratował sady, że drzewiny z szumem tłukły się w ciemnościach, a niekiedy buchał w komin, aż głoownie wyskakiwały na izbę.

Prawie przed samą północą skończyli, a Jagustynka jeszcze

nie wróciła.

– Plucha i błocko, to się jej nie chciało po omacku utykać! – myślała Hanka wyzierając na dwór przed spaniem.

Juści, czas był taki, że psa żal by na świat gonić, wiejba, aż dachy trzeszczały, chmurzyska opite deszczem, bure i napęczniałe przewalały się po zmętniałym niebie, a nikaj w wysokościach ni jednej gwiazdy, ni też ogniowego migotu w chałupach, zgoła przepadłych w nocy. Wieś już dawno spała, wiatер jeno hulał po polach i barował się z drzewami, a wody stawu przegarniał ze świstem.

Zaraz poszli spać, już nie czekając.

Jagustynka zaś dopiero nazajutrz rano się zjawiła, ale mroczna kiej ten dzień przebłocony, wiejny i zimny; ugrzała jeno w chałupie ręce i zaraz poszła do stodoły przebierać ziemniaki, już tam z dołów na kupę zwalone.

Robiła prawie w pojedynkę, bo Józka odbiegała często nakładać gnój, któren od świtania wywoził śpiesznie Pietrek, niemało już dzisia skrzyczany od Hanki, że to wczoraj się lenił i nie zdążył; poganiał też tego, na Witka hukał, konie batem prażył i jeździł, aż błoto się otwierało.

– Wałkoń jucha, na bydłatkach tera się odbija! – rzekła stara ciskając na gęsi, bo się przywiedły całym stadem na klepisko i nuż szczypać ziemniaki a przykry gęgot czynić. Zagadnęła potem do niej Józka: nie odezwała się siedząc kiej ten mruk i pilnie kryjąc pod nasuniętą na czoło zapaskę oczy zaczerwienione jakoś.

Hanka zrazu jeno raz jeden zajrzała do nich czatując w izbie na wyjście Jagny, by wtedy zabrać mięso do swojej komory i spenetrować zarazem beczki ze zbożem, ale jakby na złość Jagna ni krokiem nie ruszała się z chałupy, że już nie mogąc wstrzymać, zaglądała do chorego, to zamówiwszy się o coś, wlaźła do komory.

– Czegoj szukacie? dyć wiem, gdzie co jest, to wama pokażę! – wołała Jagna idąc za nią, że trzeba było wychodzić, ledwie co wraziwszy ręce we zboże, a pieniądze mogły być głębiej, na spodzie...

Zrozumiała też rychło, że tamta jej stróżuje, więc choć po niewoli, dała spokój odkładając swoje zamysły na sposobniejszą porę.

– Trza się wziąć do szykowania podarunków – pomyślała żałośnie przyglądając się kiełbasom, rozwieszonym na drążku; we zwyczaju bowiem było u Borynów i co pierwszych gospodarzy, iż któren świnie zaszlachtował, ten zaraz nazajutrz rozsyłał w podarunku najbliższym krewniakom albo z którymi przyjacielstwo trzymał, po kiełbasie lebo czego inszego po kawale.

– Juści, łącno nie jest, ale dać musisz, powiedziałyby, co żałujesz... – rzekł naraz Bylica utrafiając w sam raz w żałośliwe strapienia.

Więc chocia serce ściszał żal, jęła rychtować na talerzach i miseczkach z ciężkim westchnieniem zmieniając nie po raz jeden zbyt krótkie kawałki na dłuższe, to przydając niektórym

po kawale kiszki, to znowu odbierając, aż w końcu, zmęczona i rozboleła, przywołała Józki.

– Przyodziej się pięknie i rozniesiesz po ludziach...

– Jezus, tylachna wszystkiego!...

– Cóż poredzić, kiej trzeba! Sam Maciek stłoczy, ale sam nie wyskoczy! Te dłuższe nieś stryjnie najpierw, zbójem na mnie patrzy, pyskuje, ale nie ma rady; to ci z miseczkom wójtom, łajdus on, ale z Maciejem żyli w przyjacielstwie i może być w czym pomocny; cała kiszka, kiełbasa i kawał boczku la Magdy, la kowali, niech nie szczekają, że sami zjadamy ojcowego świniaka, juści, całkiem im tym pyska nie zatka, ale przyczepkę będą miały mniejszą... Pryczkowej tę tu kiełbasę, harda, wynośliwa, pyskata, ale z przyjacielstwem szła pierwsza... Kłębowej ten ostatni...

– Dominikowej to nie ślecie?

– Później się da, po południu... juści, że trzeba... z taką to jak z tym łajnem, nie porusz i jeszcze z dala obchodź. Noś posobnie, ino nie zagaduj się tam z dzieuchami, bo robota czeka.

– Dajcie i Nastce, one takie biedne, nawet na sól nie mają...

– prosiła cicho.

– Niech przyjdzie, to dam niecoś. Ociec, la Weronki zabierzecie, miała wczoraj zajrzeć...

– Młynarzowa ją przed wieczorem wezwała sprzątać pokoje, bo pewnikiem goście do nich zwałą na święta.

I długo jeszcze jąkał nowinki, ale Hanka, wyprawiwszy Józkę, przydziała się nieco cieplej i pobiegła pomagać Jagustynce a

poganiać chłopaków.

– Czekalim na was z kolacją – zaczęła, zdziwiona milczeniem starej.

– I... najadłam się tam patrzeniem, jaże me jeszcze dzisiaj w dołku gniecie...

– To Agata pono zachorzała?

– Juści, u Kozłów se dochodzi sierota.

– Jakże, nie u Kłębów leży?

– Krewniakiem przyznają, któremu niczego nie potrza albo i z pełną garścią przychodzi, na inszych, choćby rodzonych, piesków się ano spuszcza...

– Co wy też! przeciek jej nie wygnały!

– Hale, przywlekła się do nich w sobotę i zaraz w nocy zachorzała... Powiedają, że Kłębowa wziena jej pierzynę i prawie nagą we świat puściła...

– Kłębowa! Nie może być, taka poczciwa kobieta, cheba plotki pletą.

– Swojego nie mówię, ino co mi w uszy wlaźło...

– I u Kozłowej leży! A któż by się spodział, że taka litościwa

– Za pieniądze to i ksiądz litościwy. Kozłowa wzięła od Agaty dwadzieścia złotych gotowego grosza i za to mają ją przetrzymać u siebie do śmierci, bo stara liczy, że lada dzień zamrze. Ale pochówek osobno, a stara se nie dzisia, to jutro dojdzie, niedługo jej czekać... nie...

Zmilkła naraz, usiłując na próżno powstrzymać chlupanie.

– Cóż to wama, chorzyście? – pytała Hanka ze współczuciem.

– Tyle się już ludzkiej biedy najadłam, że me w końcu do cna rozebrało. Człowiek nie kamień, broni się przed sobą choćby tą złością na cały świat, ale się nie obroni, przyjdzie taka pora, co już nie zdierzy więcej i w ten piasek dusza mu się rozsypie żałosny.

Zaniesła się płaczem i długo się trzęsła nos głośno wycierając, aż znowu jąta mówić boleśnie, że te jej słowa kiej łzy gorzkie i palące kapały na Hanczyną duszę.

– I nie ma końca tej ludzkiej marnacji. Siadłam przy Agacie, kiej już ksiądz odjechał, aż tu przylatuje Filipka zza wody z krzykiem, że jej najstarsza kończy... Poleciałam juści... Jezus, w chałupie żywy mróz siedzi... Okna wiechciami pozatykane... jedno łóżko w chałupie, a reszta w barłogu kiej psy się gnieździ... nie pomarła dzieucha, ino ją tak z głodu sparło... ziemniaków już brakło, pierzynę już przedali... każdą kwartę kaszy wymodlają u młynarza, nikt nie chce zborgować i pożyczyć do nowego... bo i kto? Poratunku nie ma, Filip przecież w kreminalu z drugimi... Ledwie wyszła od nich, powie Grzegorzowa, że Florka Pryczkowa zległa i pomocy potrzebuje... Łajdusy to i krzywdziciele moi, choć dzieci rodzone... zasłam, nie czas krzywdy pamiętać... No i tam niezgorzej bieda kły szcerzy, drobiazgu pełno, Florka chora, grosza jednego w zapasie nie ma i pomocy znikąd... grontu przeciek nie ugryzie... jeść nie ma kto uwarzyć, pole odłogiem stoi, choć zwiesna idzie... bo Adam jak drugie w kreminalu... Chłopaka urodziła zdrowego kiej krzemień, żeby

się jeno odchowwał, bo Florka wyschła kiej szczapa i tej kropli mleka w piersiach nie ma, a krowa dopiero na ocieleniu... I wszędzie tak źle, a u komorników to już trudno wypowiedzieć... Ni komu robić, ni gdzie zarobić, ni grosza, ni poratunku znikąd... Mógłby już to Jezus sprawić, by choć letką śmiercią pomarli, nie męczyłby się naród co nabiedniejszy.

– A komuż się to we wsi przelewa? wszędzie bieda i ten skrzybot serdeczny.

– Hale, i gospodarze turbacje niemałe mają... jeden się frasuje, czym by lepszym kichy nadział, a inszy, komu by na większy precent pieniądz rozpożyczył, ale żaden się nie poturbuje o biedotę, choציaby ta pode płotem zdychała... Mój Boże, w jednej wsi siedzą, przez miedzę, a nikomu to śpiku nie psuje... Juści, kaźden Jezusowi ostawia starunek o biedotę i na zrządzenie boskie zwała wszystko, a sam rad przy pełnej misce brzuchowi folguje i choćby ciepłym kożuchem uszy odgradza, by ino skamlania biedujących nie poślyszec'...

– Cóż poredzić? któryż to ma tylachna, by wszystkiej biedzie zaradził?

– Kto nie ma chęci, ten wie, jak wykręci! Nie do was piję, nie na swoim siedzicie i dobrze wiem, jak wam ciężko, ale są takie, co by mogły pomóc, są: a młynarz, a ksiądz, a organista, a drugie...

– By im kto podsunął o tym, to może by się zlitowały... – tłumaczyła.

– Kto ma czujną duszę, ten sam dosłyszzy wołanie cierpiących,

nie potraza mu o tym z ambony krzykiwać! Moiściewy, dobrze one wiedzą, co się z narodem biednym dzieje, boć tą biedą ludzką się ano pasą i na niej tłuścieją... Młynarzowi to żniwo teraz, chociaż do przednówka daleko, procesjami ludzie ciągną po mąkę i kaszę, za ostatni grosz, na bóróg, za odrobek albo dobry present, a choćby pierzynę Żydowi sprzedać, a jeść trza kupić...

– Prawda, darmo nikto nie da...

Przypomniała sobie własne, niedawne nędzy i westchnęła ciężko.

– Przesiedziałam do późna przy Florce, kobiet się też naschodziło i powiadały, co się we wsi dzieje, powiadały...

– W imię Ojca i Syna! – krzyknęła naraz Hanka zrywając się na równe nogi, bo wiatr tak ano trzasnął wrótniami, że dziw się nie rozleciały. Wywarła je z trudem, mocno podparłszy kołkami.

– Wieje sielnie, jeno ciepły jakiś, by deszczu nie sprowadził.

– Już i tak wóz się w polu po sękle zarzyna.

– Parę dni dobrego słońca i wnet przeschnie, zwiesna przeciech.

– Żeby choć zacząć sadzić przed świętami!

Przegadywały niekiedy, pilnie zajęte, aż i całkiem przycichły, jeno pacanie przebieranych ziemniaków słyhać było, że to drobne rzucały na jedną kupę, a nadbutwiały na drugą.

– Będzie czym podpaść maciorę i la krów też starczy na picie...

Ale Hanka jakby nie słyszała przemyśliwając wciąż, jak by się do tych ojcowych pieniędzy dobrać najsprawniej, że

tylko niekiedy spoglądała przez wrótnie na świat, na drzewiny rozciapane i szamocące się z wichurą. Postrzępione, sine chmurzyska przewalały się po niebie kiej roztrzęsione snopy, a wiatер jeszcze się wciąż wzmagał i tak jakoś ci podwiewał z dołu, iże poszycia na chałupie jeżyły się niby szczotka. Ziąb przy tym ciągnął wilgotny i srodze przejęty nawozem, któren wybierali z gnojowiska. W podwórzu zaś było prawie pusto, jeno niekiedy przebiegały rozczapierzone kury, poganiane przez wiatер, gęsi siedziały w zaciszu pod płotem na gąsietach, cicho piukających, a co parę pacierzy podjeżdżał ostro Pietrek z pustym wozem, zakręcał dookoła, stawał rychtyk na prost klepiska, zabijał ręce, koniom podrzucał kłak siana i nakładłszy wespół z Witkiem gnoju, podpierał wóz na wybojach i ruszał w pole.

Czasami znów Józka wpadała z krzykiem, zaczerwieniona, zdyszana, przejęta tym roznoszeniem kielbas, i trajkotała.

– Zanieślam wójtom, teraz poletę do stryjecznych... W chałupie siedzieli, izby już bielą na święta, tak dziękowali, tak dziękowali...

Rozповідаła szeroko, choć nikto jej za język nie ciągał, i znowu leciała na wieś, niosąc ostrożnie, w chustkę białą owiązane, miseczki z podarunkami.

– Trajkot dzieucha, ale zmyślna – zauważyła Jagustynka.

– Juści, co zmyślna wielce, jeno że do psich figłów i gdzie by się zabawić...

– Cóż chcecie?... skrzat to jeszcze, dzieciuch...

– Witek, obacz no, kto tam wszedł do chałupy! – zawołała

naraz Hanka.

– Kowal poszli dopiero co!

Tknięta jakimś złym przeczuciem, pobiegła prosto na ojcowską stronę; chory leżał jak zwyczajnie wznak. Jagna cosik szyła pod oknem, w izbie nie było więcej nikogo.

– A kajże się to Michał podział?...

– Muszą być gdzieś, szukają klucza od wozów, którego byli kiejś pożyczili Maciejowi – objaśniała, nie podnosząc oczu.

Hanka zajrzała do sieni, nie było go; zajrzała na swoją stronę, jeno Bylica siedział z dziećmi przy kominie i wystrugiwał im wiatraczki; nawet w podwórzu szukała; nikaj ni znaku po nim, więc już prosto rzuciła się do komory, choć drzwi były przywarte.

Jakoż kowal stał tam przy beczce z rękoma po łokcie we zbożu i pilnie w nim grzebał.

– W jęczmieniu to by klucz chowali? co? – wyrzuciła zdyszana, ledwie zipiąc ze wzburzenia i stając groźnie naprzeciw.

– Patrę, czy nie spleśniały, czy aby zda się do siewu... – jękał zaskoczony niespodzianie.

– Nie wasza sprawa!... Po coście tu wleźli? – krzyknęła.

Wyjął niechętnie ręce i ledwie hamując wściekłość, zamruczał:

– A wy pilnujecie me, kiej złodzieja...

– Niby to nie wiem, po cóżeście tu przyszli, co? Hale, do cudzej komory włąził będzie i penetrował po beczkach, kłódki może będziecie ukręcać, do skrzyń otwierać... co? – wrzeszczała

coraz głośniej.

– Nie powiadałem wama wczoraj, czego nam szukać potrza...

Wysilał się na spokój.

– Przede mną cyganiliście, jedno by mi piaskiem oczy zasypać, a robicie drugie. Przejrzałam już wasze judaszowe zamysły, przejrzałam...

– Hanka, stul pysk, bo ci go przymknę! – zaryczał złowrogo.

– Spróbuj, zbójcu jeden! tknij me choć palcem, a takiego wrzasku narobię, że pół wsi się zbiegnie i obaczy, coś ty za ptaszek! – groziła.

Rozejrzał się dobrze po ścianach i ustąpił wreszcie klnąc siarczyście.

Popatrzyli sobie w oczy z bliska i z taką mocą, że bych mogli, na śmierć by się przebódli tymi rozgorzałymi ślepiami.

Hanka aż wodę piła, długo nie mogąc się opamiętać po tym wzburzeniu.

– Trza je naleźć i schować przepiecznie, bo niechby ich dopadł, ukradnie – rozmyślała wracając do stodoły, ale naraz zawróciła z pół drogi.

– Siedzisz w chałupie, stróżujesz, a obcych do komory puszczasz! – krzyknęła z góry na Jagnę otwierając drzwi.

– Michał nie obcy, ma takie prawo jak i wy! – wcale się nie ulękała jej krzyku.

– Szczekasz kiej ten pies, zmówiłaś się z nim, dobrze, ale bacz, że niech jeno co z chałupy zginie, to jak Bóg w niebie, do sądu podam i ciebie wskażę, żeś pomagała... Zapamiętaj to sobie!...

– wrzeszczała rozszreżona.

Jagna skoczyła z miejsca, chwytając w garść, co było na podorędziu.

– Bić się chcesz! bij! popróbuj ino, to ci te cacaną gębusię tak sprawię, aż się czerwona oblejesz i rodzona matka cię nie pozna!

...

Dunderowała, zajadle krzykając nad nią, co tylko ślina i złość na język stoczyła.

I nie wiada zgoła, na czym by się to skończyło, bo już pazury rozczapierały drąc się coraz bliżej siebie, gdyby nie Rocho, który akuratnie w samą porę nadszedł, że Hanka, przywstydzona jego patrzeniem, ochłoneła nieco i zmiłkła zatrzaskując jeno za sobą drzwi z całej złości.

Jagna zaś ostała na izbie, ruchać się nie mogąc z przerażenia, wargi jej latały niby we febrze i serce kołatało, łzy posypały się kiej groch. Aż w końcu oprzytomniała, rzucając w kąt magłownicę ściskaną w garści, buchnęła się na łóżko, w boleściwym, nieutulonym płaczu roztrzęsiona.

Hanka tymczasem opowiadała Rochowi, o co im poszło.

Słuchał cierpliwie jazgotliwych i szlochem przeplatanych powiadań, a nie mogąc z nich wiele wymiarkować, przerwał ostro i jął ją surowo gromić, odsunął nawet podawane jedzenie i wielce rozgniewany po czapkę sięgał.

– Już mi we świat iść przyjdzie i nigdy Lipiec na oczy nie oglądać, kiejście tacy. Złemu to wszystko na pociechę albo Żydowinom, co się ze swarliwości a głupoty chrześcijańskiego

narodu prześmiewają! Jezus mój miłosierny, to mało bied, mało chorób, mało głodowań, to się jeszcze w pojedynkę za łby biorą i złością dokładają.

Zadyszał się tą przemową, Hanke zaś przejęła taka żałość i strach, by w gniewie nie odszedł, że pocałowała go w rękę przepraszając z całego serca...

– Byście wiedzieli, co z nią już wytrzymać ciężko, na złość wszystko robi, a na moją szkodę. Przecież z krzywdą naszą tu siedzi... jakże, tylachna gruntu ma zapisane... A nie wiecie to, jaka jest?... co to wyprawiała z parobkami... jaka... (– nie, nie potrafiła wypomnieć o Antku —)... a teraz już się pono z wójtem zmawia... – dodała ciszej. – To juści, że skoro ją dojrzę, to się jaże we mnie gotuje ze złości, iż prosto bym nożem pchnęła...

– Pomstę ostawcie Bogu! ona też człowiek i krzywdy czuje, a za swoje grzechy ciężko odpowie. Powiadam wam, nie krzywdźcie jej!

– To ja ją krzywdzę?

Zdumiała się wielce, nie mogąc wymiarkować, w czym się Jagnie krzywda dzieje.

Rocho przegryzał chleb wodząc za nią oczyma, a cosik medytując, wreszcie pogładził dziecińskie głowiny, tulące mu się do kolan, i zabierał się do wyjścia.

– Zajrzę do was którego dnia wieczorem, a teraz wama jeno rzeknę: Poniechajcie jej, róbcie swoje, a resztę Pan Jezus sprawi...

Pochwalił Boga i poszedł na wieś.

## IV

Rocho włókł się wolno drogą nad stawem, raz, że wiatr tak w niego siepał, iż ledwie się na nogach utrzymał, a po drugie, jako strapiony był wielce tym wszystkim, co się we wsi działo, to jeno raz po raz wznosił rozpalone oczy na chałupy, przemyśliwał ważnie i wzdychał żałośnie. Tak źle się bowiem działo w Lipcach, że już zgoła gorzej nie mogło.

Zaś nie to było najgorsze, że niejednen głodem przymierał, że choroby się krzewiły, że się kłócili barzej i za łby brali, że nawet śmierć wybierała swoje gęściej niżli po inne roki – takusieńko było i łoni, i drzewiej, do tego się już był naród wezwyczaił rozumiejąc dobrze, jako inaczej być nie będzie... Złe i o wiele gorsze było całkiem co inszego – oto, że ziemia stojała odłogiem, bo nie miał w niej kto robić...

Zwiesna już szła całym światem wraz z tym ptactwem, ciągnącym do łońskich gniazd, na wyżnich miejscach podsychały role, wody opadły i ziemia się prawie prosiła o pługi, o nawozy i o to ziarno święte...

A któż miał iść w pole, kiej wszystkie robotne ręce były w kreminale!... Przeciech prawie same kobiety ostały we wsi, a nie ich to moc ni głowa poredzić wszystkiemu.

A tu na niejedną przychodziła pora rodów, jak to na zwiesnę zwyczajnie, a tu krowy się cielify, drób się łagł, maciory się prosiły, w ogródkach też czas był zasiewać i wysadki sadzić,

ziemniaki trza było przebierać z dołów przed sadzeniem, wodę z pól spuszczać, gnój wybierać i wywozić – to choć urób kulasy po łokcie, a bez chłopca nie wydolisz... A tu jeszcze trza obrządzać inwentarz, rznąć sieczkę, poić, drwa rąbać lebo i z lasu wieźć, a tylachna inszej, codziennej roboty, choćby na ten przykład z dzieciskami, których było wszędzie kiej maku, że Jezus! gnatów już nie czuły, krzyże im ano drętwiały na odwieczerzy z utrudzenia, a i połowy nie było zrobione – bo kaj to jeszcze te ze wszystkich najpierwsze – polne roboty?...

A ziemia czekała; wygrzewało ją młode słońce, suszyły wiatry, przejmowały na wskroś te ciepłe i płodne deszcze, stężały owe mgliste i nagrzane noce zwiesnowe – że trawy już puszczały zieloną szczotką, oziminy podnosiły się w chyżym roście, skowronki przedzwaniały nad zagonami, boćki brodziły po łągach, kwiaty też kajś niekaj buchały z moczarów ku niebu połyskliwemu, ku niebu, co się co dnia, niby ta płachta jasna i obtulna, podnosiła coraz wyżej, że już coraz dalej sięgały tęskliwe oczy, aż po owe wręby wsi i borów, niedojrzanych w zimowych mrokach; cały świat przecykał z martwego śpiku i prężył się a przystrajał do zwiesnowych godów wesela i radości...

Zaś wszędy po sąsiedztwach, kaj jeno okiem dosięgnąć, robili tak pilno, że całe dni, deszcz był czy pogoda, rozlegały się wesołe przyśpiewy i kukania, po polach błyskały pługi, ruchali się ludzie, konie rżały i wozy turkotały wesoło, a jeno lipeckie role stały puste, ciche, zgoła obumarłe i jako ten smętarz żalosne...

A kieby na dobitkę jesczech te ciężkie strapienia o

uwięzionych...

Mało jeśli co dnia nie ciągnęło do miasta po kilkoro ludzi z węzłkami, a i z tym płonym skamłaniem, bych wypuścili niewinowatych.

Hale! będzie ta kto miał miłosierdzie nad pokrzywdzonym narodem, jeśli on sam sobie sprawiedliwości nie wydrze!...

Źle się działo, tak źle, że nawet obce ludzie, z drugich wsi, zaczęli już miarkować, jako krzywda Lipiec jest krzywdą wszystkiego narodu chłopskiego. Jakże, jeno małpa małpie zajdy szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien trzymać, bych i jemu na taki sam koniec nie przyszło.

Więc i nie dziwota, jako drugie wsie, choć ta przódzi koty darty z Lipcami o granice i różne szkody sąsiedzkie albo i z czystej zazdrości, że to Lipczaki wynosiły się hardo nad wszystkie, a wieś swoją uważały za najpierwszą, teraz poniechali sporów otrząchając z siebie zawziętość, bo często chłop jakiś z Rudek, to z Wólki, to z Dębicy, a nawet i z rzepeckiej szlachty niejednen przebierał się do Lipiec na kryjome przewiady.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.